



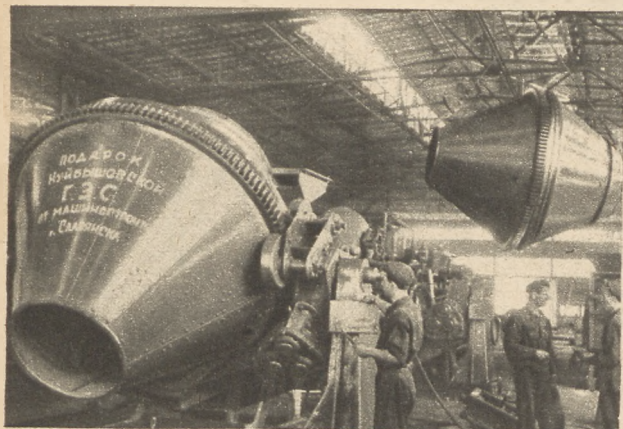
GOTOWI DO PRZEPRAWY!

...MELDUIĄ Z UŚMIECHEM DWAJ MŁODZI SAPERZY. W DNIU WOJSKA POLSKIEGO, W IX ROCZNICĘ BITWY POD LENINO, CAŁY NARÓD SKŁADA WYRAZY CZCI SWEJ LUDOWEJ ARMII, OKRYTEJ CHWAŁĄ W WALKACH Z HITLEROWSKIM NAJEŻDŻCĄ, A DZIŚ WIERNIE STRZEGĄCEJ POKOJU I NIENARUSZALNOŚCI GRANIC

Fot. H. Gryda



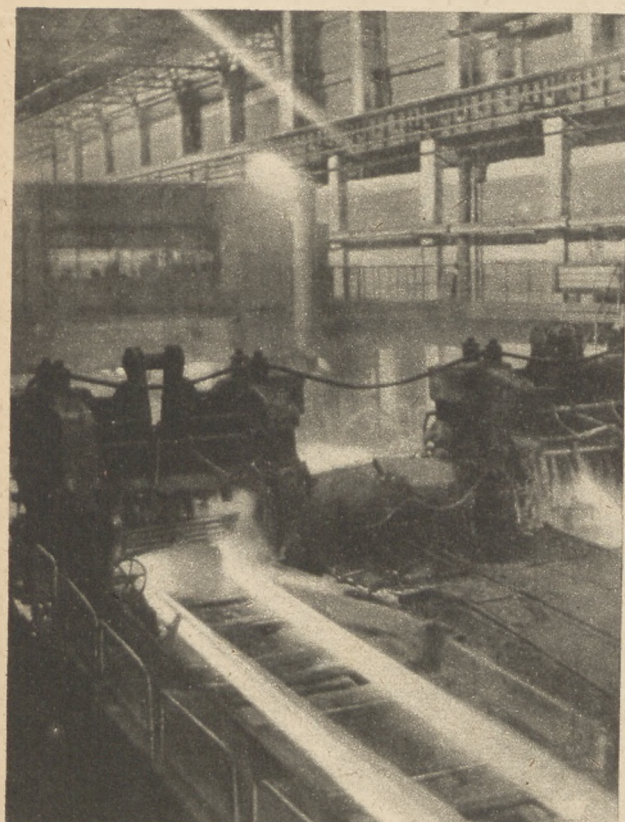
W bież. roku powierzchnia ziem uprawnych wzrosła o 5,3 miliona hektarów w porównaniu z rokiem 1940. 5.300.000 ha — to więcej, niż powierzchnia Szwajcarii.



Radziecki przemysł budowy maszyn stworzył w ciągu ostatnich 3 lat 1600 nowych typów maszyn i mechanizmów. Wiele z nich pojawiło się pierwszy raz w technice.



W ciągu lat powojennych zbudowano w ZSRR 23.000 nowych szkół. Wydatki państwa na oświatę wzrosły w bież. roku w porównaniu z rokiem 1940 przeszło 2,5 raza.



Hutnictwo radzieckie da w roku bieżącym 25 mln ton surówki, 35 mln ton stali oraz 27 mln ton walcówki.



Po wojnie zbudowano w ZSRR domy miejskie o 155 mln. m² powierzchni mieszkalnej i 3,8 mln na wsi.



W latach 1939 — 1952 liczba instytutów naukowo-badawczych w ZSRR wzrosła z 1.560 do blisko 3.000.

XIX ZJAZD WKP(b)

NA DRODZE DO KOMUNIZMU

DROGA była długa i trudna. Wiodła przez fronty wojny domowej, przez głodne dni i nieprzespane noce. Wiodła przez strątane pola i martwe hale fabryk, przez miasta bez chleba i wsie bez soli; prowadziła przez pola bitew z interwencją 14 państw, z bandami Denikinów i Kołczaków. Ustępujący wróg niszczył za sobą

wszystko, palił śpichrze południa i lasy północy, wywoził klejnoty i części obrabiarek, dzieła sztuki i plany urządzeń portowych.

Zaczęto dosłownie z niczego. Nieliczne fabryki — stały bez paliwa, bez robotników. Chłop nieśmiało wychodził w pole, na którym wczoraj jeszcze grzmiała kanonada bitew. Transport opanowały tysiączne rzesze głodnych, wędrujących za chlebem. Burżuazyjne gazety wróżyły, że władze radzieckie zdławiają klęskę nędzy i głodu — ale narody radzieckiej Rosji już wtedy były bogate: posiadały wolność, nieprzeliczone skarby swej ziemi, miały partię, z którą skruszyły okowy caratu i kapitału i z którą miały budować nowe jutro.

W zimnych, ciemnych pokojach, przy naftowej niekiedy lampie Lenin i Stalin kreślili plany elektryfikacji i uprzemysłowienia. Dzieliąc z całym narodem niedostatek opracowywali drogi przekształcenia pustyni w urodzajne pola i kwitnące ogrody.

Warto owe ciężkie lata przypomnieć dziś, gdy nie do poznania przeobraził się Związek Radziecki, gdy z trybuny XIX Zjazdu WKP(b) padały słowa o gigantycznym postępie kraju socjalizmu, o jego oszałamiających perspektywach. Fakty i liczby referatu sprawozdawczego Komitetu Centralnego WKP(b) obiegiły już cały świat, ukazały milionom ludzi ogrom osiągnięć narodu radzieckiego, potwierdziły raz jeszcze całkowitą słusz-

ność drogi, po której wiodła go doświadczona i zahartowana w bojach partia bolszewików.

Nieodparta jest wymowa porównań: w okresie 22 lat, gdy przemysł Francji pozostał na tym samym poziomie, a w Anglii wzrósł zaledwie o połowę — Związek Radziecki osiągnął wzrost blisko trzynastokrotny. Górnicy radzieccy wydobyli w bieżącym roku trzysta milionów ton węgla, naftowcy — 47 milionów ton ropy, metalowcy — zbudowali przeszło 3 razy tyle maszyn, co w roku 1940. Siedmiomilowymi krokami rozbudowy i postępu technicznego idzie naprzód radziecki przemysł ciężki, pociągając za sobą wszystkie inne dziedziny gospodarki narodowej.

Słuszną, dalekowzroczną politykę partii sprawia, że tempo rozwoju gospodarki radzieckiej nie tylko nie maleje, ale wzmacnia się. Dobitnie mówią o tym dyrektywy XIX Zjazdu WKP(b) w sprawie nowego, pięcioletniego planu pięcioletniego. Wielkie budowle stalinowskie są tylko jednym z elementów tego planu, który przewiduje także budowę potężnych central hydroenergetycznych na Zakaukaziu, Uralu, Syberii; daleko posuniętą mechanizację i automatyzację procesów produkcji; wydarcie pustyni nowych ziem, ogromne, nie do pomyślenia w warunkach kapitalistycznych zwiększenie wydajności rolnictwa i hodowli. Ludzie radzieccy uruchamiają nowe kopalnie cennych metali, pokrywają bezludne niedawno obszary siecią zakładów przemysłowych, dróg, linii kolejowych i kanałów.

Nowy plan pięcioletni przybliży narodom radzieckim obraz społeczeństwa komunistycznego, każe pojąć że komunizm, budowany ich rękami, to sprawa realna, sprawa niezbyt odległej przyszłości.

Potwierdziła to opublikowana w przeddzień XIX Zjazdu nowa praca Józefa Stalina, który poddał głę-



Prezydium XIX Zjazdu WKP(b). Od lewej: towarzysze J. W. Stalin, L. M. Kaganowicz, A. B. Aristow, M. D. Bagirow, W. M. Molotow, O. W. Kuusinen, K. J. Woroszyłow, W. M. Andrianow, N. S. Chruszczow, A. I. Nijazow, D. S. Korotczenko, Ł. P. Beria, Ż. Szajachmietow, N. A. Bułganin, N. S. Patoliczew. Na trybunie G. M. Malenkow.

bokiej analizie realne drogi stopniowego przejścia do komunizmu, wyjaśnił wiele wątpliwości, nurtujących społeczeństwo radzieckie. Nowe, twórcze dzieło Józefa Stalina nie tylko pomaga ludziom radzieckim energiczniej, pewniej kroczyć do komunizmu, ale także wskazuje konkretne metody ciągłego posuwania się naprzód po tej drodze.

Ogromne znaczenie nie tylko dla obrad XIX Zjazdu, ale dla nauki marksistowskiej w ogóle ma sprecyzowanie przez Józefa Stalina dwóch niezwykle istotnych praw ekonomicznych: podstawowego prawa ekonomicznego socjalizmu i podstawowego prawa ekonomicznego kapitalizmu. Głęboka, zasadnicza różnica między tymi prawami odzwierciedla podstawowe różnice między dwiema drogami, po których kroczy obóz pokoju i obóz wojny. Tu — nieprzerwany wzrost i doskonalenie produkcji dla jak najlepszego zaspokojenia rosnących potrzeb całego społeczeństwa, tam — pogoń za maksymalnym zyskiem drogą ujarzmania i ograbiania innych narodów.

Nic dziwnego, że metody kapitału monopolistycznego doprowadziły do rozpadu rynku światowego na dwa rynki, że muszą prowadzić do rosnących sprzeczności i zaognień między państwami imperialistycznymi, do wojen w łonie samego obozu imperializmu.

Zarówno przygotowanie przez imperialistów wojny przeciw krajom obozu pokoju, jak i groźba wojen w obozie imperialistycznym — budzą od lat niepokój milionów ludzi, stały się źródłem potężnego, wielomilionowego ruchu obrońców pokoju. Oparciem dla tego ruchu jest pokojowa polityka Związku Radzieckiego i jego rosnąca potęga.

Na XIX Zjeździe WKP(b) obszernie mówiono i o rokwicie, o potężniejszej sile Kraju Rad, i o konse-

wentnej, wytrwałej polityce radzieckiej, zmierzającej do utrzymania i utrwalenia pokoju. Dlatego obradom XIX Zjazdu przysłuchiwały się z uwagą miliony ludzi we wszystkich krajach świata, szukały i znajdowały w nich słowa nadziei i otuchy.

W referacie sprawozdawczym na XIX Zjeździe WKP(b) G. M. Malenkow oświadczył: „Związek Radziecki zawsze wypowiadał się i obecnie wypowiada się za rozwojem handlu i współpracy z innymi krajami...” Deklaracja ta znajduje pełne potwierdzenie w stosunkach ZSRR z innymi krajami obozu pokoju. Słowa Malenkowa „...ZSRR udziela i udzielać będzie pomocy i poparcia w dalszym umocnieniu i rozwoju tych krajów” — są wyrazem tych nowych stosunków, których ogromne dla nas znaczenie odczuwa i ceni nasz naród od pierwszych chwil niepodległego bytu. Treścią tych słów są bowiem wielkie piece Nowej Huty i pierwsze na naszych ziemiach kombajny, są turbiny Dychowa i urządzenia zginiatacza, są radzieckie obrabiarki w naszych fabrykach i fundamenty Pałacu Nauki i Kultury w naszej stolicy.

Zrozumiała to polska klasa robotnicza, zrozumiała to naród polski, czcząc historyczny XIX Zjazd WKP(b) jeszcze lepszą, jeszcze ofiarniejszą pracą — tak, jak ludzie radzieccy, tak, jak narody Chin i Bułgarii, Węgier i Mongolii, jak wszystkie narody obozu postępu i pokoju.

Obrady XIX Zjazdu jak snop mocnego światła ukazały narodowi radzieckiemu i całej ludzkości drogi do jasnego jutra. I dlatego Zjazd był świętem nie tylko dla ludzi Kraju Rad, miłujących głęboko swą partię, ale dla wszystkich uczciwych ludzi na świecie, pragnących pokoju i prostego, ludzkiego szczęścia.

GŁOS NASZEGO WIEKU

(Fragment poematu)

Jest trudny czas i znowu trzeba
Pieśni i woli wszystkich ludów;
Ziemio pokoju, ziemio chleba,
Ziemio mądrości i nauki,
To ciebie ludzkość bronić będzie
Przed tymi, co wołając cudu
Trwożyli nocę łuną nieba,
Świty wtrącali do swych więzień,
Głodzili, bili, mordowali,
A dziś gotują zbrojne pułki
I znowu pragną świat podpalić.

Ziemio nad Wołgą, z gwiazdą twoją
Idą pochody w stronach wielu;
Idą ku złotym twoim polom
Z uśmiechem, kwiatem i chorągwią.
Słuchaj, daleki przyjacielu,
Kroku, co na tym globie dudni,
Werbla, co bije ponad drogą:
Nie damy ciebie żadnym wrogom,
Nie zagubimy w żadnej studni
Księżycy drogi i przyjaźni,
Przewodniej gwiazdy, co nam świeci.
Będziemy silni i odważni
Na przekór śmierci, zbrodni, piekłu:
Oto jest piękny sen stuleci.
Oto jest głos naszego wieku.

Artur Międzyrzecki



Wskaźnik wzrostu globalnej produkcji przemysłu Związku Radzieckiego w latach 1929—1951 (dane z roku 1929 przyjęto za 100). Należy pamiętać, że ostatnia wojna zahamowała rozwój przemysłu ZSRR o 8—9 lat.

DOCIERAMY DO OSTATNICH UGORÓW KULTURALNYCH

NAPISAŁ: MIROSŁAW ŻULAWSKI — ZDJĘCIA: W. PRAŻUCH



Malarka ludowa z Zalipia — Felicja Czuryło oświadczyła, że pracuje ciągle jeszcze przy naftowej lampie.



...Kiedy Minister Dybowski obiecał, że będzie elektryczność w Zalipiu, cała sala zatrzęsała się od oklasków...

SZCZECIN jest jednym z najpiękniejszych miast Polski. Planowany z rozmachem, godnym wielkiej stolicy, rozwija przed oczyma przechodnia doskonale perspektywy swych zadrzewionych ulic, gwiaździstych placów, szerokich bulwarów. Bujna roślinność i wielkie drzewa lasów otaczających miasto zdumiewają przyjezdnych mieszkańców innych okolic Polski. Szczecin zawdzięcza je wilgotności klimatu, wodom Odry i morza. Rozbudowany przez Polskę Ludową port — dziś jeden z najnowocześniejszych portów na Bałtyku — jest tętniącym sercem miasta.

Wczesna tegoroczna jesień jakby umyślnie przyozdobiła Szczecin we wszystkie odcienie złota i zieleni z okazji wielkiego zjazdu działaczy kultury i sztuki, którzy przyjechali na ogólnopolską naradę z okazji sesji wyjazdowej Rady Artystycznej. Szczecin na dwa dni stał się kulturalną stolicą Polski. Wielka sala Miejskiej Rady Narodowej zapelniała się delegatami ze wszystkich ośrodków kulturalnych kraju, twórcami i działaczami kultury. Narada, której przewodniczył Minister Kultury i Sztuki Stefan Dybowski, poświęcona była zagadnieniu rozszerzenia ofensywy kulturalnej i objęcia nią całego kraju aż po najbardziej zapadłe, jak to się dotąd mówiło „deskami zabite” miejscowości. Zjazd był pierwszym w skali państwowej spotkaniem czołowych kierowników naszego życia kulturalnego i czołowych twórców kultury i sztuki z terenowymi pracownikami kultury. Jedni i drudzy mieli sobie wiele do powiedzenia.

Ustrój socjalistyczny znosi sztuczny podział na dwie kultury, jedną dla miasta, drugą dla wsi. Kultura jest jedna, jak jedno jest piękno i jak jedna jest prawda. Chodzi o to by ten sam szczerzy kruszec kulturalny w tej samej szlachetnej obróbce artystycznej otrzymywał mieszkaniec wsi co mieszkaniec miasta.

Narada szczecińska ustaliła punkty wyjścia ofensywy kulturalnej, mającej dotrzeć do ostatniego z polskich ugorów kulturalnych, mającej obalić ostatnie z istniejących jeszcze „rogatek kultury”. Tymi punktami wyjściowymi są wielkie osiągnięcia Polski Ludowej w upowszechnianiu kultury. Referaty Wicemin. Kultury i Sztuki Włodzimierza Sokorskiego, prezesa Centralnego Urzędu Kinematografii Stanisława Albrechta, i wiceprezesa Polskiego Radia Adama Ostrowskiego, zbilansowały dotychczasowe osiągnięcia w dziedzinie udostępnienia całej ludności kraju do książki, teatru, świetlicy, kina, muzyki, odczytu, malarstwa, radia czy muzeum. Osiągnięcia te są olbrzymie i stanowią w porównaniu z analogicznymi dziedzinami okresu

międzywojennego miarę przełomu kulturalnego, jaki się u nas dokonał. Ale są jeszcze poważne niedociągnięcia. W referacie o geografii polskich kadr kulturalnych prof. Jan Kott wskazał na niejedno z nich. Zdarza się jeszcze ogolanie tere- nu z twórców i działaczy kultury na rzecz stolicy. Zdarzają się jeszcze wypadki niedoceniania przez miejscowe Rady Narodowe zagadnień upowszechnienia kultury, lekceważącego stęsu- ku do pracowników kultury i twórców. Są rażące wypadki igno- rancja i zły wóh. Zbyt wiele świetlic zamyka się jeszcze lub zamienia na punkty zsyłu zboża. Zbyt często odstrasza twór- ców od osiedlania się na prowincji fałszywe ustosunkowanie się do nich i ich spraw — miejscowych Rad Narodowych.

Ale najbardziej wzruszającymi momentami obrad były te, kiedy występowali działacze wiejscy i opowiadali o tym, jak oni na swojej wsi pracują. Na sali zrywały się co chwila oklaski, kiedy nauczyciel z Zaborowa mówił: „Mamy 116 gospodarzy. — 116 zgłosiło się do drugiego etapu konkursu czytelniczego!”. Albo kiedy pracownik kultury z Pardubic, z tego zapadłego ką- ta Kielecczyny, gdzie w okresie międzywojennym ani jeden mieszkaniec nie ukończył szkoły podstawowej, opowiadał o tym, jak do szkoły muzycznej zgłaszają się wiejscy chłopcy, którzy nigdy w życiu inaczej nie sypiali jak na wyrku i jak jeden z nich zapytany na jakim instrumencie umie grać odpowiedział: „Umiem grać na gębie, to i na flecie się nauczę”.

Uczestnicy narady szczecińskiej nie zapomną nigdy Felicji Czuryło, malarki ludowej z Zalipia, która oświadczyła, że pracuje ciągle jeszcze przy naftowej lampie i prosiła Ministra Kultury i Sztuki aby „zaprowadził elektryczność w Zalipiu”. Kiedy minister Dybowski obiecał, że będzie elektryczność w Zalipiu, cała sala zatrzęsała się od oklasków, a Felicja Czuryło nie mogła się powstrzymać, żeby go serdecznie nie wycelować. Felicja Czuryło nie uważała za niewłaściwe zwrócenie się do Ministra Kultury i Sztuki o elektryczność, choć wiedziała, że elektryfikacja wsi zajmuje się Ministerstwo Rolnictwa. Bo zelektryfikowanie każdej wsi to olbrzymi, zasadniczy przełom kulturalny w życiu jej mieszkańców. Felicja Czuryło i jej współpracownicy z Zalipia są autorkami malowideł, które zdobią wnętrza „Bato- rego”. Największy polski statek transoceaniczny, nasza duma i chluba, został ozdobiony rękami ludowych artystek. — które u siebie we wsi pracują jeszcze przy naftowej lampie. Jakież zacofanie rządów pańsko - obszarniczych odrabiamy i ileż ich jeszcze do odrobienia zostało!

NOWA GODNOŚĆ

KRYSTYNA ZIELIŃSKA

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

W DNIU imienin czy urodzin, albo też w dzień święta Matki mała córka lub syn wręcza matce zwiniętą w rulon laurkę z życzeniami. Są na niej róże czy konwalie i wykaligrafowane starannie zdania — rezultat długich godzin pracy: życzę ci Mamusiu szczęścia, zdrowia, pomyślności...

Mała córka Dionizy Klimorowskiej napisała to samo — tylko innymi słowami: „Życzę Ci Mamusiu wszystkiego najlepszego

— wykonaj Plan 6-letni!... 18 września tego roku Dioniza Klimorowska z huty „Zabrze” wykonała swoje zadania w 6-letnim Planie... Na naradzie przodujących kobiet miast i wsi pierwsza zabrała głos w dyskusji.

Mówiła o sprawach swojej huty, o kobietach w hutnictwie, o tym jak stanęła do współzawodnictwa z mężczyznami i zwyciężyła ich 427 procentami wykonanej normy. Najtrudniej jest mówić o sobie: o rzeczach co tkwią w człowieku jak bolesna drzazga. O tym, że dopiero w 48 roku nauczyła się czytać i pisać. że latami pasterka krowy u kulaków, że bito ją, że nigdy nie była syta — o tych wszystkich sprawach mówi już przez łzy.

Jej wzruszenie udziela się innym. „Czego wy kobiety oczy na mokrym miejscu macie?” — pyta z odzieniem złościwości przystuchujący się naradzie robotnik z jakiegoś łódzkiego zakładu włókienniczego. Z miejsca dostaje odpowiedź: „Bo nas obchodzi — człowiek nas obchodzi... a zresztą my nie tylko płakać umiemy! Słuchajcie lepiej!”

„Jest jeszcze trzy lata czasu, chciałabym wykonać drugą sześciolatkę, chciałabym żeby do naszej huty, żeby do wszystkich hut przyszło dużo kobiet” — kończy Klimorowska. mała, wątła kobieta, która zwyciężyła na swoim odcinku walkę z czasem i z przesadami o kobiecych i niekobiecych zawodach.

A Ludwika Lachterowa taką samą walkę toczyła na swojej wsi: podział na bab- skie i niebabskie sprawy, na dwie kategorie — lepszą mężczyzn i gorszą kobiet, ustąpił na jej wsi miejsca innemu podziałowi: na tych co pracują dla siebie i dla wszystkich i na tych co myślą tylko o sobie... „O swoim życiu przed założeniem spółdzielni produkcyjnej chcę najpierw powiedzieć” — zaczęła Lachterowa. I nikt się nie dziwił, że tak właśnie podzieliła swe życie na okresy: przed założeniem spółdzielni i po założeniu spółdzielni, do której przyszła z mężem wnosząc pięć hektarów ziemi. Była pierwszą kobietą w tej spółdzielni. Zajęła się hodowlą. Z początku były tylko dwie jałówki i nie było ich gdzie wstawić.

„A teraz jest dwadzieścia kilka krow. Było 35 świń, a teraz po wykonaniu zobowiązań jest 72 sztuki”. Ta kobieta ze spółdzielni produkcyjnej z Bydgoskiego — słowo „chlewniastryni” wymawia tak, jak by mówiła „general”... Piękne jest u niej to, że o naszych sprawach — o sprawach kraju



Gertruda Hajn jest pierwszą kobietą-palczem rud w hucie świętochłowskiej

mówi z taką samą troską, jak o tej swojej wsi: „Tak myślę o was, o tych co w mieście, chce żebyście mieli więcej mięsa, żebyście byli zawsze syści... Mój tucznik co go dla was poza spółdzielczym chlewem u siebie wyhodowała ważył 200 kilo... I w ogóle tak pracujemy, żeby się ani jeden kłos w polu nie marnował, żeby ani jeden kartofel, ani jeden burak cukrowy nie pozostał, nie zamarł w ziemi...”

Irena Dziklińska sławna rdzeniarka z huty „Zyg- gmunt”, nauczyła najstarszych rdzeniarzy jak bez uszkodzeń wydobywać z form rdzenie do mażni. Tutaj kobiecie przyszła z pomocą znajomość... kuchni: przed włożeniem rdzenia do formy wysmarowała ją specjalną mieszką, tak, jak się sma- ruje formę przed włożeniem ciasta do pieca. Rezultat: rdzenie wychodziły bez uszkodzeń — nie kruszyły się, były mocne. Kruszeje tylko nieufność i zadawnione przesady, że kobiety nie podolają, nie potrafią, że między wydajnością pracy mę- czyzny i kobiety zawsze będzie różnica... O swojej pracy pięknie mówiła lekarka z Warszawy... 18-letnia nauczycielka wiej- ska z Opolecczyny z dziecinny rumieńcem, ale z dojrzałą po- wagą rozprawiała „o tezach i metodach nauczania” i o tym, że teren ma trudny.

Na drugiej w Polsce ogólnokrajowej naradzie nie tylko o suk- cesach i wielkich przemianach była mowa: trudności i codzienne kłopoty, sprawy połączenia pracy domowej z pracą zawodową — o tym także mówiły kobiety, rozumnie, po gospodarsku, doj- rzale. I nie najważniejsze, ale często dokuczliwe braki, nie przesłaniały, nie zacięły im spraw najistotniejszych: tego, cośmy już osiągnęli i tego, co przed nami...

— Jestem pierwszą w województwie poznańskim kobieta- kierownikiem pociągu — powiedziała Genowefa Rzońca. — Pierwsza w Polsce kobieta kierownik przedziału — przedstawiła się Janina Olszewicz.

Gertruda Hajn — pierwsza kobieta-palcz rud, pracuje w hu- cie świętochłowskiej już cztery lata. „Maż też jest w hucie przy wielkich piecach — to co ja produkuję on daje do wiel- kich pieców. A w domu mamy czworo dzieci, już w szkole”, — wyjaśnia uśmiechnięta, śliczna Hajnowa... 53-letnia chłopka z gminy Jankowice. Janina Dziadek, też mówi o mężu: „Współza- wodniczymy z moim mężem w kontraktacji trzody chlewnej; on zrobił 9 kontraktacji... ja 18”.

W latach które przyjdą, w czasie kobiecych kongresów i na- rad będziemy na pewno wracać do naszych dni. Będziemy wte- dy mówili: „To było wtedy, gdy w hutnictwie pracowały pierwsze w Polsce kobiety, to było wtedy, kiedy kobiet - inżynierów górniczych było bardzo niewiele. Kiedy dziwiono się, że kobiety prowadzą spółdzielnie produkcyjne...”

A teraz na miarę tych przemian wyrasta kobieta — współ- twórca nowego życia, kobieta w pierwszych szeregach Frontu Narodowego, kobieta — przyjaciel i towarzyszy pracy, matka i żona. — Nowe kategorie życia i myślenia, nowa godność: socjalistyczna...

Z zainteresowaniem słuchano dyskusji, w której mowa była nie tylko o wielkich przemianach w życiu kobiety polskiej, ale o trudnościach i drobnych kłopotach.



ANNA KRZYŻAK

Kierowniczka Wydziału Politycznego POM w Krynicy

DROGA KTÓRĄ IDE

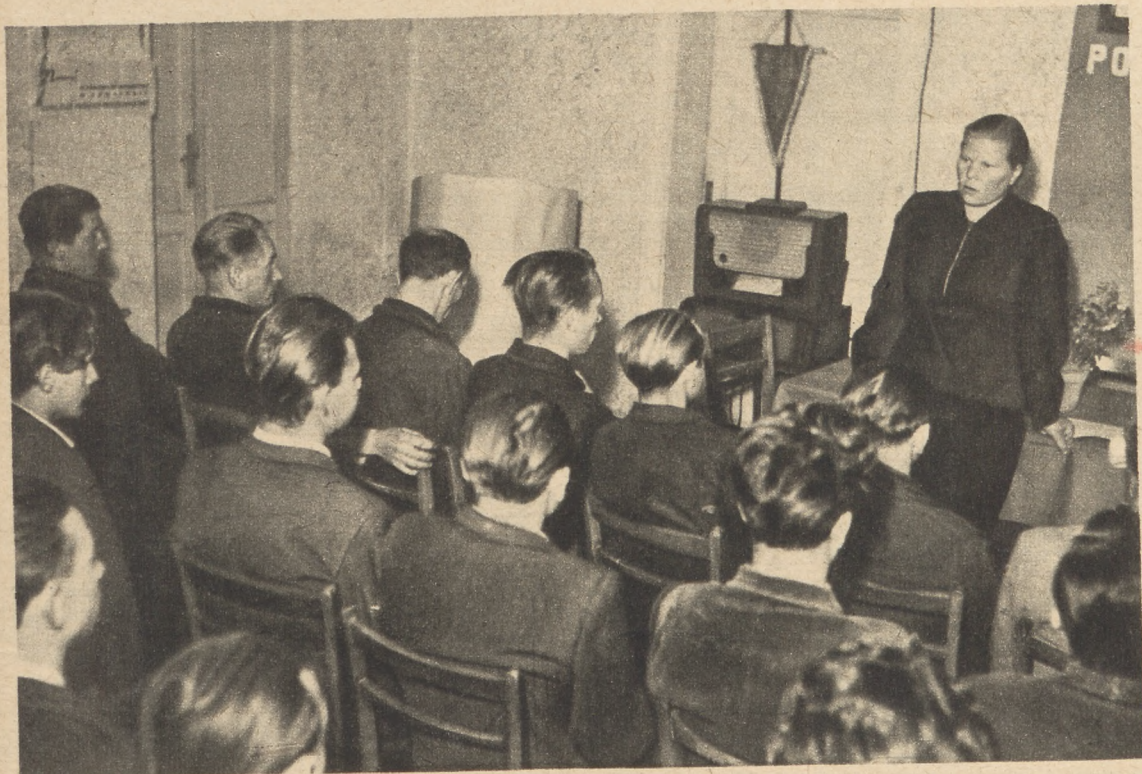
W powiecie nowosądeckim rolnicy wysunęli do Sejmu kandydaturę Anny Krzyżak, chłopki ze wsi Nasaczowice. Dlaczego wysunęli jej kandydaturę, a nie inną, zrozumieć można łatwo przeczytawszy jej autobiografię. Anna Krzyżak pisze:

...Byłam chora i leżałam w izbie sama, gdyż wszyscy z domu poszli do pracy w pole, ale nie na swoje, tylko na pole bogatego sąsiada, gdzie zwykle dorabiali na chleb biedacy z naszej wioski. Miał piękne konie, i wystrojoną bogato żonę często woził nimi na odpusty i jarmarki. Gaździna była wyniosła i ledwie dawała się całować po rę-

kach, a tak swą zamożnością nas, chudziny, onieśmiałała, że wszyscy wstydziliśmy się za swą biedę, za to, że chodziliśmy w podartym ubraniu i boso.

Na co w tamtym czasie dzieci wiejskie chorowały nikt nie wiedział, bo lekarza chłopci nigdy nie oglądali, zdając się na wolę bożą. Nie była jednak łaskawa, gdyż umierało jedno za drugim. Czulałam w sobie gorączkę i kiedy matka wpadała na chwilę od żniw zobaczyć czy jeszcze żyję, uprosiłam, aby wyniosła mnie na ogród w cień ja-

Balszy ciąg na str. 6



Aby dokładnie poznać Program Wyborczy Frontu Narodowego pracownicy POM w Krynicy, traktorzyści, agronomowie, mechanicy, często zbierają się w świetlicy na dyskusję z Anną Krzyżak.



Anna Krzyżak nie zamyka się w czterech ścianach biura — odwiedza brygady traktorzystów, interesuje się pracą w polu

W SPÓŁDZIELNI JAWORZYNA BYŁY TRUDNOŚCI, ALE DZIŚ, GDY WZROSŁO USWIADOMIENIE CZŁONKÓW, ROZWIJA SIĘ ONA Z ROKU NA ROK



bloni. Ale słońce przesunęło się w bok, tak mnie później spiekło, że gorączka wzrosła i ledwie oddychałam. Szczęściem, następnych dni był deszcz, matka do roboty nie wyszła, a pod jej opieką bardzo mi się polepszyło. Wszyscy w domu ucieszyli się, że znów będę mogła paść gęsi. Miałam zaledwie 5 lat i słabo jeszcze mówiłam, bo kto miał ze mną czas rozmawiać, ale do obowiązku pilnowania domu, pa-

sania gęsi i krów przyzwyczajało mnie od dawna. Czułam, że mi się dzieje wielka krzywda, ale takie same dzieciństwo miały i inne dzieci z naszej wioski.

Z pastwiskiem długo nie mogłam się rozstać, nawet kiedy chodziłam do szkoły, przy pasaniu krów odrabiałam lekcje. Najgorzej gdy padał deszcz. W przemokniętej sukience było mi zimno, a nie miałam drugiej do zmiany. Mokły również książki i zeszyty, choć okrywałam je workiem. Ale te trudności nie zniechęcały mnie do nauki.

Chciałam nabyć jak najwięcej wiedzy, ale pieniędzy starczyło mi tylko na jednoroczną szkołę rolniczą, którą skończyłam po szkole powszechnej. I to był koniec.

Ale człowiek nie lubi zostawać w ślepej uliczce, szuka dalszej drogi, choć mu się nagle urywa. Ta myśl nas młodych ze wsi Naszacowice — z pobliska Nowego Sącza, zgromadziła wokół Wici. Razem zastanawialiśmy się teraz nad życiem wsi, słuchaliśmy uważnie mądrych wyjaśnień Kapały i Zemanka, człon-

ków KPP. Pod ich wpływem coraz bliżsi stawali się nam robotnicy. Gdy w 1937 roku wybuchł strajk chłopski, wiedzieliśmy już, że droga nas chłopów i robotników jest jedna, że przez walkę prowadzi do obalenia władzy obszarników i kapitalistów.

Strajk, prowadzony pod hasłem podwyżki cen na artykuły rolne i obniżki cen na materiały przemysłowe, zakończył się prześladowaniami. We wsi stała się przesiadywała teraz granatowa policja, która rozwiązywała nasze zebrania wiciowe, a młodzież, domagając się ziemi i pracy, zamykała po więzieniach. Jan Sznajder, Józef Maciusek, Józef Poloniec i ja, aresztowani byliśmy po kilka razy.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, co nas wkrótce miało spotkać. We wsi naszej mieszkał legionista, nazwiskiem Magensteimer. Uprawiał agitację hitlerowską, ale tego policja nie widziała, choć wciągał do pracy Polaków z całej okolicy. Interesowała się natomiast postępową i radykalną młodzieżą z Wici. Skutki tego nie długo kazały na siebie czekać. Z chwilą wybuchu wojny Volksdeutsche pomagali Hitlerowi w walce z Polską, a podczas okupacji zaczęli nas prześladować, jak dawniej granatowa policja. Wobec tego już w styczniu 1940 roku zawiązaliśmy się w antyhitlerowską organizację podziemną. Na mnie przypadł kolportaż nielegalnej prasy.

W terenie Nowego Sącza współdziałał z nami komunista Zemanek. W domu moich rodziców często odbywały się zebrania, którymi on właśnie kierował. Zimą 1940 roku widziałam go po raz ostatni. Dom nasz otoczyło Gestapo, Zemanek zdołał wprawdzie zbiec, ale dosięgła go w polu kula karabinowa. Byłam ranna i nawet nie mogłam marzyć o ucieczce. Skatowano mnie taśmą z nabojami do karabinu maszynowego, a gdy i wtedy nie chciałam wskazać gdzie ukrywają się partyzanci, wyprowadzono mnie przed chałupę i, obracając do ściany, strzelono w tył głowy. Moment przeobrażenia zbiegł się z uczuciem prawdziwej ulgi. Padłam w kałużę krwi bez przytomności.

Strzał nie był śmiertelny. Kula przeszła przez szyję, a zimny śnieg przywrócił mi świadomość. Poczołgałam się w stronę lasu, gdzie znów zasypało mnie kulami, ale zdołałam dobrać do swoich. Ze śmiercią walczyłam przez dwa tygodnie, a długo nie mogłam podnieść głowy. Leżąc w stodole jeszcze raz myślałam o swoim życiu. Moja droga stawała się coraz jaśniejsza.

Wkrótce mogłam już pełnić służbę. Dano mi karabin i gdy zaszła potrzeba, walczyłam, jak

i towarzysze z naszego oddziału. O zwycięstwie Polski nie wątpiłam nigdy, nie chciałam jednak również powrotu Polski przedwrześniowej, nędzy wsi, wiecznej głodnej ziemi i pracy. Po reformie rolnej najważniejszą wydało mi się, aby ziemia była uprawiona, aby nikomu nie zabrakło w Polsce chleba, ale wówczas się spostrzegłam, że to nie wszystko. Stare myśli, myśli, które natchnęły mnie od dzieciństwa, nie dawały teraz spokoju. Porzuciłam gospodarke, zajęłam się pracą społeczną, pragnęłam pchnąć wieś na drogę spółdzielczą. Uważałam za szczęście, że przydzielono mnie w końcu do POM w Krynicy, gdzie miałam prowadzić wydział polityczno-wychowawczy.

Zdawałam sobie sprawę, że nie jest to praca łatwa. Wszystkie nowoorganizowane spółdzielnie w pierwszym roku chcą prowadzić gospodarstwo na wół spółdzielcze, na wół indywidualne. Chłopi zapisując się do spółdzielni odmawiają często wkładu w postaci żywego inwentarza i przełamanie tych najróżniejszych oporów należy do najtrudniejszych zadań naszego wydziału.

Zdarza się, że dobry przewodniczący postawi spółdzielnię na nogi, ale zmęczy się trudnościami i rezygnuje ze swego stanowiska. Tak było w Rolniczej Spółdzielni Wytwórczej „Jaworzyna” (w Ziółce) z Piotrem Lubiakiem. Wiele kosztowało zabiegów, aby poprowadził spółdzielnię dalej. Dziś rozwija ona wielką hodowlę caki (owiec) i znajduje się na drodze do dobrobytu.

W okresie rocznych bilansów i podziału dochodu, pracownicy Wydziału Politycznego spali po dwie tylko godziny na dobę. Nie wszędzie, a przeważnie z winy samych członków nie dość jeszcze przywiązanych do gospodarstwa spółdzielczego, dniówka obrachunkowa nie była dość wysoka. Trzeba było tłumaczyć dlaczego i co robić, aby w roku następnym to się nie powtórzyło.

Przekonywanie ludzi trwa nie raz całe lata, ale mimo to nie rezygnujemy z tego zadania. Dla wielu świadome życie, zaczyna się dopiero teraz. Mijały lata i nic nie widzieli, szli jak ślepi. Jasno, coraz jaśniej, widzę swoją drogę po której idę. Daleka to droga, ale przecież jeśli nie ja dojdę do jej końca, dojdą tam młodzi chłopci, nowi chłopci, chłopci, którzy wraz z robotnikami idą do jednego: od nędzy, krzywdy zbyt wcześnie spracowanego dziecka — do takich stosunków społecznych, gdzie krzywda taka nigdy już nie będzie możliwa.

ANNA KRZYŻAK

Zdjęcia — Z. Małek

INŻYNIER JERZY TELIGA

OPCZNO. Jesień 1944 roku. Niemal codziennie napływają z Warszawy uchodźcy, którzy jeszcze niedawno patrzyli na gorejące miasto. Gnieźdzą się w nieogrzanych, zrujnowanych izbach/opuszczonych domów małego miasteczka. Pilnie śledzą nadchodzące z Warszawy wieści — wieści coraz gorsze i smutniejsze. Wreszcie pewnego dnia kolejna fala przybyszów z Warszawy przynosi ze sobą kolejną wiadomość: most Poniatowski został zniszczony.

W miesiąc później, w ciasnej izbie jednego z domków w Opocznie, dwaj mężczyźni pochylają się nad jakimiś kolumnami cyfr. Kolumny cyfr układają się w długie szeregi skomplikowanych obliczeń. Ulicami miasteczka



Zainteresowanie konstrukcjami stalowymi odziedziczył syn po ojcu, który współdziałał przy odbudowie warszawskich mostów. Inżynier Jerzy Teliga jest starszym asystentem Politechniki.

przeciągają długie kolumny hitlerowskich wojsk, słysząc miarowy stukot podkutyh butów „nadludzi”. Nie zwracają na to uwagi obaj uchodźcy. Wiedzą, że przed świtem noc jest zawsze najciemniejsza. Oni myślami już są w dniu jutrzejszym: przygotowują plany odbudowy mostu Poniatowskiego.

Jeden z nich — to profesor Hempel. Drugi, który wtedy w Opocznie samorzutnie przystąpił do kreślenia planów lepszego jutra — to Jerzy Teliga. Jego wyobraźnia sięga ku dniom jutrzejszym. Wtedy, jesienią 1944 roku — chodziło o most, który miał znowu spaść stalową klamrą dwa brzegi Wisły. Teraz — na warsztacie są dalsze projekty...

Kandydat na posła do Sejmu — inżynier i magister nauk technicznych Jerzy Teliga urodził się przed 38 laty w Kamiennej, w powiecie końskim. Ojciec jego był pomocnikiem maszynisty kolejowego.

Studia wyższe: Politechnika Warszawska. Brał tam czynny udział w pracy społecznej, należąc m. in. do Klubu Demokratycznego. Obecnie jest działaczem Stronnictwa Demokratycznego.

W roku 1945 stanął do realizacji planów, które przywędrowały do Warszawy w tułaczym plecaku. Zaczął pracę w BOS. Niedowiarkowie tłumaczyli ten skrót jako: „Boże, odbuduj stolicę!”. Ludzie pokroju dzisiejszego kandydata do Sejmu liczyli jednak bardziej na pracę rąk własnych. Terminy lat, uświęcone autorytetami sław techniki, przeliczali na skalę miesięcy. Osiem

lat trwała po I wojnie odbudowa mostu Poniatowskiego; osiem miesięcy wystarczyło dla jego odbudowy po drugiej wojnie światowej.

Inż. Teliga kierował pracami montażowymi kopuły gmachu Sejmu. Kiedy po ukończeniu tych robót dekorowano go w odbudowanym gmachu Złotym Krzyżem Zasługi (nadany po raz drugi), nie przypuszczał pewnie, że w kilka lat później sam ubiegać się będzie o miejsce na sali obrad pod tą „swoją” kopułą.

Dalsze zadanie nazywało się W—Z. Przy budowie Trasy inż. Teliga był zastępcą głównego kierownika robót. Pamięta dobrze szczegóły owej pracy; pamięta, jak „brygady uniwersalne” śpieszyły z pomocą na każdy odcinek robót gdzie słabło tempo; pamięta tę noc z 8 na 9 stycznia 1949 roku, kiedy saperzy obrzucali zwaly kry ładunkami wybuchowymi, aby ocalić drogocenne dźwigi i już zaawansowane konstrukcje; pamięta, jak kiedyś o 3 nad ranem na placu Zamkowym spotkał się z inż. Sigalinem i kilku innymi odpowiedzialnymi pracownikami budowy trasy W—Z. Nie umawiali się wcale ze sobą. Nocne spotkanie wywołała wspólna troska o dobro pracy, o dotrzymanie terminu. Kradli sobie godziny dobrze zasłużonego wypoczynku dla dopilnowania, aby wszystko „grało”, by wszystko „szło”.

Kandydat na posła jest starszym asystentem wydziału architektury Politechniki Warszawskiej. W ubiegłym roku akademickim wydział ten ukończyło 600 absolwentów. Inż. Jerzy Teliga może łatwo porównać ich perspektywy z tymi, jakie miał sam podczas własnych studiów na tej samej uczelni. Jakże inna jest praca

pedagogiczna kiedy się wie, że własne doświadczenia znajdują szybkie zastosowanie w gospodarce narodowej, pomnożone przez setki młodych rąk i umysłów.

Kandydat na posła mówił nam z przejęciem o swej pracy zawodowej. Opowiadał, jak teraz buduje się w Polsce mosty z elementów ważących do 90 ton — gdy do niedawna były to najwyżej kilkotonowe człony. Opowiadał o zamierzeniach Robotniczo-Inżynierskiej Brygady Racjonalizatorskiej przy Zjednoczeniu Montażu Mostów, której jest przewodniczącym. Opowiadał, jak zaoszczędzi się do końca roku 400 tysięcy złotych na drewnie, eliminowanym coraz bardziej z budowy mostów. Opowiadał...

Jest jeden wspólny mianownik tych opowieści: praca dla narodu. Skończyły się bowiem czasy, kiedy — jak śpiewano w starej piosence — „Jaworowi ludzie, budowali mosty dla pana starosty...” Teraz Front Narodowy zjednoczył nas do walki o realizację planów lepszego jutra. Zdajemy sobie sprawę, że czeka nas ciężki trud i że — tak jak budowniczywie mostu Śląsko-Dąbrowskiego z krą — tak i my będziemy musieli zająć się walczyć ze wszystkim, co mogłoby podważyć nasze plany.

Do Sejmu, który debatować będzie nad nowym Planem Pięcioletnim, kandyduje Jerzy Teliga, inżynier, jeden z tych, którzy dadzą pokrycie słowom programu wyborczego w konkretnym języku stali i betonu nowych konstrukcji.

Zdjęcia — J. Kosidowski.

Joseph Men

SMOLAKOWO

Kapralowi Gasiakowi z batalionu Poletajewa, bohaterowi walk nad Nysą

LUNAŁ deszcz i schroniłem się pod tęgi, rozłożysty kasztan. Stałem pod grubą, bełkocącą tkaniną zieleni i przyglądałem się temu, co się działo wokoło. Ziemia nasiąkała wilgocią, zło-pała wodę, plukała z bulgotaniem każdą jamkę. Z cieniutkich łądyg zbóż spływały ostatnie grudki pyłu. W przestworzach chrobotwały gniewnie pioruny, warczały, potem nagle zagrzmiało, rozdarło chmury na strzępy i lunęły nowe potoki wody. Liście nade mną drgnęły, zatrząsnęły się, opryskało mnie grubymi kroplami ałżdu.

Stałem cierpliwie. Przeszedłem tyle kilometrów z plecakiem na grzbiecie, z zakopiańskim kijem w dłoni — dziwaczna figura — tyle kilometrów od miasteczka do miasteczka, od wsi do wsi, fotografując, notując, wszystko po to, żeby się przyjrzeć z bliska naszym Ziemiom Zachodnim. Nasiąkałem Słowiańszczyzną, jak ślaska ziemia deszczem. Wszystko tu było ukochane i jedyne. Oto ruiny zamku Bolka Świdnickiego, oto stary kościół ufundowany przez Henryka Pobożnego, oto spółdzielnia produkcyjna im. Janka Krasickiego, oto jabłonie, które już wkrótce będą owocować.

I tak wędrowałem — to tnąc pola rozległe, pola falujące od horyzontu po horyzont, to nurkując w cieniste wąwozy.

Aż wreszcie doszedłem do samej Dzieży.

Dzieżę wynalazłem sam. Siedząc nad mapą Ziemi Zachodnich, wczytując się któryś tam już raz w dzieje Piastów, nabrałem pewnego dnia przekonania, że Deschau nad Nysą Łużycką, to nie innego tylko owa Dzieża, w której zatrzymał się ze swą drużyną Bolesław Chrobry w drodze do Miśni.

Kiedy deszcz ustał, usłyszałem zbliżającą się piosenkę: jakiś energiczny, żołnierski motyw. Zbliżała się ta melodia na rowerze, a miała pod pięćdziesiątkę, duże włosy i rogata, żołnierską czapkę. Osadnik.

Przejeżdżając koło mnie rowerzysta przyhamował i zawołał:

— Nie lepiej to zaleźć do jakiej chałupy? Mieszkam za mostkiem.

Był przemoczony do nitki, ale nic sobie z tego nie robił.

— Mieszkacie w Dzieży? — zapytałem.

— W jakiej znowu Dzieży? — zdziwił się tamten. Kręcił powoli pedałami, a ja szedłem obok po oślizgłym asfalcie.

— Ta osada, tam w dole, to przecież Dzieża?

Spojrzelismy obaj w dół. Osada stała w spójnic. Od oślepiąco białych ścian domków odcinała się ciemna gęstwa dzikiego wina. Za osadą wznosiło się zielone, kędzierzawe wzgórze, a z jego szczytu wypelzał rozgruchotany okrągłak baszty. Stare to musiało być wszystko! Ale czemu nie Dzieża?

— Więc jak się w końcu ta osada nazywa?

— Smolakowo.

— A Dzieża gdzie? Może obok?

Osadnik podrapał się w głowę:

— Nie wiem. Trza ludzi przepytać. Jak się ta Dzieża za Niemców nazywała? — Deschau.

Rowerzysta wskazał na osadę w dole:

— Smolakowo, to właśnie Deschau.

— Ale skąd Smolakowo — zaperzyłem się — kiedy zgodnie z historią...

— Nie wiem — przerwał mi osadnik. — Smolak, to był w naszej jednostce żołnierz. Tu u nas jest nauczycielka, to ona wie najlepiej. Powiadają nawet, że go znała. Może onałupa. Zadzicie?

Miałem ochotę wejść do środka, napić się gorącej herbaty, ale ciekawość przemogła. Przecież to jest Dzieża! Oczywiście że Dzieża, więc dlaczego Smolakowo? Bo Smolak?

— Gdzie mieszka ta nauczycielka?

— W szkole. Halina Kupczak się nazywa.

W szkole kazano mi czekać, za jakieś dziesięć minut skończą się lekcje. Usiadłem na ławeczce po środku dziedzińca, pod wielkim, chropowatym i dziwnie powykęcany drzewem akacji z odlamanymi w kilku miejscach gałęziami. Akacje właśnie kwitły, buchały białymi buketami, w powietrzu było od nich świeżo, i mokro, i słodko, i gęsto. Na niedawno pobielonych ścianach szkoły huśtało się słońce. Od dachu strzelała w niebo wysoka tyka, a na niej powiewała na tle wymytego błękitu biało-czerwona flaga.

Na środku dziedzińca stała żelazna pompa z korbą i dużym kołem zamachowym. Kiedy jej się tak przyglądałem i wzięła mnie chętką, żeby napić się wody, wyszła nauczycielka. Z otwartych drzwi szkoły wysypało się za nią z hałasem całe smarkate bractwo — co to był za wrzask! — Ona szła wprost do mnie. Wstałem.

— Wy do mnie? — zapytała.

— Czy obywatelka Kupczak?

— Tak.

— Do was. Proszę siadajmy, mam dość dużo pytań. Czy znajdziecie dla mnie trochę czasu?

Skinęła głową. Nie miała chyba więcej niż 25 lat. Była średniego wzrostu, szczupłutka i twarz miała drobną, obisypaną piegami, jak u młodych dziewcząt. Szczególnie dużo było tych piegów na nosku, małym i śmieszny. Ale oczy miała duże, zielone i ufnie. Strasznie to wszystko było młode. Włosy cesała do tyłu, jak poważna osoba, a przecież te jej jasne, złotawe trochę włosy, aż się prosiły o warkoczyki, takie figarne, roztrzepione, może nawet z kokardkami.

Przedstawiłem się i zaczęliśmy rozmawiać. Z początku całkiem nieobowiązująco, o tym i owym, zapytałem o pracę, jakie są postępy uczniów, jakie trudności. Po kwadransie byliśmy już do brymi przyjaciółmi. Dopiero wtedy zaatakowałem:

— To przecież było Deschau, tak?

— Tak.

— Czemu więc Smolakowo? Przecież to jest stara Dzieża! Tę basztę kazał wystawić Bolesław Chrobry, jako strażnicę nad Nysą. W portalu tutejszego kościoła jakiś artysta, buntujący się przeciw Krzywoustemu, wyrzeźbił oblicze Zbigniewa, syna Władysława Hermana. Przecież ignorowanie tego...

— Ach, znowu! — wykrzyknęła. Ale nie było w tym okrzyku zniechęcenia. Może nawet cieszyła się, że znowu może komuś o tym opowiedzieć. Próbowałem jej pomóc:

— Smolak, to był żołnierz, tak?

— Tak. Zwykły żołnierz. To jest właściwie starszy strzelec.

— Aha. I wasz znajomy?

— Tak. To jest... Opowiem wszystko od początku. Widzicie tę studnię? Więc poznaliśmy się przy tej studni. Ja tu byłem w tych okolicach od czterdziestego trzeciego roku. Pochodzę spod Izbi-cy, to jest w Zamojszczyźnie. Nasze strony bardzo ucierpiały podczas okupacji. Gestapo „pacyfikowało” je. Wsie spalili, ludność wywieźli. Mnie też wywieźli. Miałam wówczas czternaście lat.

Ta cyfra zdruzgotała mnie. Czternaście lat! Patrzyłem na jej ufnie oczy, na piegi obsypujące nos, na złote włosy, które należałoby skrócić w warkoczyki, przewiązać kokardką... Czternaście lat!

— Czy nosiliście wówczas warkocze? — spytałem.

— Tak. Bo co?

— Bo nic. Proszę dalej. Zburzono więc waszą młodzież?...

— Ach, to była okupacja. Nie byłam jedna... Przez dwa lata pracowałam tu, w Deschau, jako dziewczyna do wszystkiego u różnych gospodyń. Gospodynie były różne i mnie było różnie... Nie, to nie ważne. Powiem o Smolaku. Gdzieś w końcu lutego przyszło wyzwolenie i front ustalił się na Nysie. Ale wracać było jeszcze trudno. Przeniostałam się z koleżanką — ona także była z moich stron — do tej szkoły. Mieszkaliśmy tu ponad miesiąc. Jedzenie dostawałyśmy w radzieckiej kuchni, myśmy tam sprzątały. Zrobiło się ciepło i wszystko zaczęło się zielenić. Któregoś dnia ta moja koleżanka, Mania, powiada do mnie: „A wiesz Halinko, że tu mają przyjeść polscy żołnierze?” „Skąd wiesz?” „A Sowieci tak przebakują”. Znowu minęło parę dni i całkiem już o tym zapominałam.

Stałam raz przy studni i nabierałam wody do koryta, bośmy z Manią chowały sobie w komórcę prosiaka, stałam więc przy studni, kiedy nagle na dziedzińcu wchodzi żołnierz z orzełkiem na czapce. Polak! Idzie ciężko jak kawalerzysta, zakurzony jest niemożliwie, na czole i na policzku zakrzepły mu brudne krople potu.

— Ej, Fraulein! — woła z daleka. — Daj Wasser!

Wzięłam od niego menażkę i powiedziałam:

— Ja sama napompuję. Bo tu trzeba wiedzieć jak.

Zdębiał. Mamrocze: „Patrzcie, patrzcie, Polka”, a ja kręcę korbą i nalewam mu pełną menażkę lodowatej wody. Dorwał się do niej, pije, pije, ale patrzy na mnie znad menażki tymi swoimi niebieskimi ślepiami, jakby dźwię zobaczył. Oczu ze mnie nie spuszcza! Powiedziałam:

— Ostrożnie, bo można się zaziębić. Roześmiał się i w tej właśnie chwili zachłystnął się wodą i rozkaszał. Ja też się śmiałam:

— Mówiłam! Zapalenie płuc gotowe. Odstaw! Menażkę — była prawie pusta. Zapytał:

— A co cię moje płuca obchodzą?

A ja na to — bo i wesoło mi było i wściekle mi się ten żołnierz podobał — więc ja na to:

— Pewnie, że obchodzą! Szkoda takiego bohatera.

Zaczerwienił się, spojrzał na mnie jakos dziwnie, zaraz czapkę zdjął i zaczął ją mietosić. A włosy, króciutkie, dopiero mu odrastały, włosy to miał zlepięne — pot i kurz. Nagle odezwał się czupurnie:

— A wiesz, piegowata, że masz śliczną buzię?

Obraziłam się:

— Tylko nie „piegowata”!

A on jak nie palnie:

— Ja ci te piegi obcałuję!

Teraz ja się zaczerwieniłam.

— Patrzcie go — bąknęłam — jaki prędki!... No, siadaj sobie, odpocznij.

Usiadł właśnie na tej ławce pod akacją.

— Chcesz się spotkać po wojnie? — zapytał.

W pierwszej chwili nie wiedziałam co odpowiedzieć. Już miałam zamiar udawać, że co mi tam, wcale mi nie zależy, ale na niego zaczęło z ulicy wołać — Smolak! Smolak! — a ja nie chciałam go stracić, więc powiedziałam po prostu, że chcę. Tylko kiedy i gdzie?

Zamyślił się. Kombinował na głos:

— Kiedy? Hm... Wojnę do połowy maja chyba zakończymy, to mur. Do końca maja powinno się wrócić do kraju.

No, piętnastego czerwca możemy się spotkać. W Warszawie, prawda? No, pewnie, że w Warszawie. Będziesz?

— Będę.

— Piętnastego czerwca o trzeciej po południu róg Szucha i Alej Ujazdowskich. Zapamiętasz sobie? Pamiętaj. Na Szucha gestapo mnie biło. To ja właśnie tam chcę się spotkać z moją śliczną, piegowatą dziewczyną.

— Nie mówiłbyś o tych piegach.

— Kiedy mi się podobają.

Taki był. I głowa nabita myślami:

— A potem przyjedziemy tu. Ile masz lat smarkulo? Szesnaście? O jej, to ja z takim smykiem się zadaje? No, nie wiem jak ty, ale ja to zamieszkam tu, w Deschau. Już sobie nawet upatrzyłam chałupę. Bo to żadne Deschau, wiesz? Dzieża. Widzisz tę basztę? — Nauczycielka wstała z ławki: — Widzicie? — zapytała. — Więc on mi ją właśnie tak pokazał. Patrzyłam, głupia, na te ruiny, nic nie rozumiałam. — Więc nie wiem, jak ty — powiedział — ale ja się tutaj muszę osiedlić.

— Ja się też tutaj osiedlę — przyrzekłam.

— Dobrze, piegowata. Znajdzie się tu miejsce i dla ciebie. My tu się osiedlimy i tutaj będzie polska szkoła, i polskie dzieciaki będą się w niej uczyć, i ty tu będziesz mieszać, i ja, a może razem, co, narzeczona?

Nic nie odpowiedziałam, bo mnie aż zatkało. I tylko serce biło — wicie, jak to serce potrafi bić.

Tymczasem koledzy wołali:

— Smolak! Smolak!

Kilku wbiegło nawet za nim na podwórko. Jeden z nich, kapral, naskoczył na niego z góry:

— Co to ma znaczyć, starszy strzelec? Cały pluton na jednego Smolaka czeka!

A Smolak wtedy palce do daszka, obcasami stuknął i melduje:

— Obywatelu kapralu, znajomą spotkałem. Czysty przypadek.

Kapral coś tam jeszcze mruczał, a ja zapytałam:

— Nazywasz się Smolak?

— Antoni Smolak. A ty?

Przedstawiłam się.

— Słuchaj, Halinko — powiedział — skąd się tu u licha wzięłaś?

Ale nie było czasu opowiadać. — Kiedyś opowiem. Na Szucha, piętnastego czerwca o trzeciej po południu. A teraz trzeba się rozstać — o jej, już trzeba — odrywają go ode mnie, tego mojego Antosia, wołają.

— Smolak, do jasnej! Hitler na nas czeka, umiera wprost z niecierpliwości!... Pocałujcie się i jazda!

I tak pocałowaliśmy się — przy wszystkich przycisnęłam się do niego i pogłodziłam po tych zlepionych, tłustych włosach.

— Wojuj szczęśliwie, Antosiu.

— Trzymaj się, piegowata! — krzyknął. — I nie zapomnij o naszym spotkaniu.

Wybiegłam za nimi na ulicę i szłam obok plutonu. Mania biegła za mną, krzyczała:

— Halinko, oszalałaś, czy co?

Ale później sama się poddała, bo to przecież polscy żołnierze, idą na front i nie ma ich kto odprowadzić, bo tu dookoła ani jednego Polaka, tylko my dwie, radosne i spłakane. Na skraju osady, tam, gdzie droga wchodzi w las, przystanęliśmy, a oni poszli dalej; szli między cienkimi sosnami, do samej Nysy. Smolak szedł teraz w ostatniej czwórce, odwracał się ciągle i machał do mnie ręką, a po lesie dudnił jego mocny szepot:

„Trzymaj się, piegowata!”

W szkole rozlokował się wydział polityczny. Zrobiło się pełno. Na dziedzińcu garażowały dwa samochody ciężarowe i jedna limuzyna. Pompa skrzyżowała przez cały dzień. Sprzątałam teraz u nich, ale co to było za sprzątanie, cały dzień kręciłam się, jak muchy w ukropie. Widać, że się na coś zanosi. Któregoś świtanie, to było 16 kwietnia, nagle zagrzmiało z setek dział. Zaczęła się ofensywa. Niemcy odpowiedzieli — i tutaj, proszę was, wpadł pocisk. Przełamała gałęzie tej akacji. Widzicie? Przez dwie godziny był huk nie do wytrzymania. Trzęsłam się, jak liść. Potem zrobiło się ciszej. Wyjrzałam na ulicę, podbiegłam do samego lasu. Ile poranionych drzew! A między nimi kuchnie polowe, tabory z amunicją, sanitariusze z noszami. Od strony Nysy wiatr niósł dym i nieustanny terkot, zajądły, zły, zupełnie jakby na wsi psy ujadły. To były karabiny maszynowe. Nasi żołnierze

rze poszli wbród przez rzekę, wprost na to wściekle ujadanie. Zaczęło się forsowanie Nysy.

Przez dwa dni na niebie stała luna. W nocy niebo było purpurowe, zupełnie, jakby kto wymalował. W powietrzu była duszność i gorąco, i smród spalenizny, i trzask walących się bel. Karabiny wciąż ujadły. Nasi wciąż nie mogli się tego drugiego brzegu uczyć.

Ja spędzałam większość czasu przy tej pompie. Tak mnie coś do niej ciągnęło. Popłakiwałam tu sobie, a jak kto się pytał: „Co ci?” — mówiłam, że nic, że to nie lzy, że woda prysnęła. A naprawdę to się strasznie bałam — i o siebie i o Antosia, czyli starszego strzelca Smolaka. Czy on tam żyje i czy spotka się ze mną w Warszawie piętnastego czerwca o godzinie trzeciej i czy będziemy tu mieszkać, w tej Dzieży, wśród polskich dzieciaków — on, polski żołnierz i ja, jego piegowata narzeczona...

Tutaj właśnie zastał mnie na drugi wieczór po ofensywie nasz major, zastępca dowódcy dywizji do spraw politycznych. Wysiadł z auta i powlókł się ciężko w moją stronę. Było ciemno, ale poznałam go po chodzie, miał pałkowate, długie nogi. Sam był suchy i wysoki. Stał przed mną taki wycieńczony, taki wyschnięty i bezwładny, że wydawało mi się, iż za chwilę usiadzie sobie przy tej pompie. Podałam mu bez słowa menażkę z wodą. Pił, pił, pił — zupełnie jak wtedy Antoś. Potem odwrócił się i poszedł do sztabu. Ale w drzwiach odwrócił się jeszcze raz i powiedział do mnie:

— Chodź.

Poszłam za nim posłusznie, wiedziałam, że mi coś powie, na pewno coś mi chce powiedzieć.

Weszliśmy do pokoju na górze, tu, gdzie znajdował się sztab wydziału. Pokój oświetlały dwie świeczki łojowe. Poza tym znajdował się tu stół z maszyną do pisania, dwa krzesła, siennik. I telefon połowy. Przy telefonie siedział strzelec, Stach Kowalski, szesnastoletni dryblas, obok stała kapral Myszką i jeszcze jeden sierżant.

Major usiadł na krześle. Spytał mnie: — Ty jesteś Halina?

— Ja.

— Aha. No, to tam jeden żołnierz na przyczółku prosił mnie, żeby cię pozdrowić. Smolak. Narzeczony?

— Nie wiem, proszę pana — powiedziałam.

— Nie wiesz? Może go o to zapytamy? — zaśmiał się. — Oni są teraz po tamtej stronie Nysy. Wczepili się w piasek, jak kleszcz w skórę. Już nie puszcza. Kowalski! — major trącił drzemiącego żołnierza. — Łącz z przyczółkiem, będziemy rozmawiać. Zapytamy o małżeństwo Hali.

Pamiętam, że majorowi strasznie chciało się palić, a sierżant i Kowalski, jak na złość, obaj byli niepalący i dopiero Myszką coś tam wygrzebała w kieszeni.

Przyczółek nazywał się „Warszawa”.

— Warszawa? — wołał major do słuchawki. — Tu Narew. Siedzicie?... Jakie straty? — Chwilę słuchał, marszcząc brwi. — Amunicji starczy?... Wkrótce przystąpimy do budowy mostu. Trzymajcie się!

Odłożywszy słuchawkę major powiedział:

— Jeden zabity, trzech rannych. Nieustanny ogień maszynowy. Odparli cztery ataki.

Zaległo milczenie. Stach Kowalski zapalił nowe świeczki, bo tamte już się dopalały. Ja usiadłam cichutko na sienniku i patrzyłam, jak urzeczona, na telefon. Nawet Myszką, trajkotka, nic nie mówiła. Myśleliśmy o tamtych.

Z odrętwienia obudził mnie głos majora:

— Warszawa? Co nowego? Znow zaatakowali?... Co powiadacie? Co potrzebne?... Co? Nie słysz! Nie słysz!...

Major długo jeszcze potrząsał w bezsilnej złości słuchawką, dopóki nie usłyszał współczującego głosu telefonisty:

— Połączenie przerwane.

Odłożył słuchawkę. Wstał i przemierzał swymi pałkowatymi nogami pokój. Zaciskał palce u rąk tak mocno, że słyszałam trzeszczenie stawów. Patrzyłam na niego zmartwiała. Czego im tak na przyczółku potrzeba? Czy nie można się dowiedzieć co tamten chciał powiedzieć? Czy nigdy się już nie dowiemy?

Major spojrzał na mnie w zamyśleniu i oczy nasze spotkały się. I patrzyliś-

my tak na siebie, ja błagalnie, a on — sama nie wiem jak — tyle wiem, że po jego suchej twarzy przebiegł jakiś nerwowy skurcz. Trzepnął nagle palcami i zdecydował:

— Spróbujmy się czegoś dowiedzieć. Podniósł słuchawkę. — Dajcie War-tę... Warta?... Tak. Co z przyczółkiem?

Odpowiedziano mu:

— Połączenie przerwane.

— O tym wiem. Ale czy widzicie coś?

— Widzę. Jakiś żołnierz stoi po szybie w wodzie i łączy.

— Oho!

— Majorze, ale tam wał w niego. O rany, zniknął pod wodą!... Nie, nie, majorze, wynurzył się znowu, on pewnie tak specjalnie.

— Zakryjcie go ogniem.

— Zakrywamy.

Major pokręcił korbą telefonu:

— A więc dajcie Warszawę.

— Kiedy przerwane — poinformował telefonista.

— Zaraz będzie połączenie. Dajcie.

Teraz liczyliśmy w skupieniu sekundy. Raz... dwa... Czerdzieści trzy... czterdzieści cztery... Nagle martwa twarz majora rozpromieniła się. Huknął:

— Warszawa!!!

A we mnie wszystko tańczy, tańczy! Już tam oni mówią, już trajkotają:

— Majorze, rąbnęli nam prościutko w drut. Dobrze, co? A wał w tę wodę, aż kipi. Pytam: kto na ochotnika? To proszę zanotować: poszedł starszy strzelec Antoni Smolak. — (To wszystko mi major potem powtórzył). — Trochę go zadrasnęło, ale w ogóle jest żywy i zdrowy i bije się dalej.

Major do mnie:

— Smolak połączył. Słyszysz dziewczyno? Krzyż Walecznych za to mu się należy. Pod ogniem nieprzyjacielskim, rozumiesz? — I w słuchawkę mówi: — Powiedźcie Smolakowi, że dostanie Krzyż Walecznych. I jeszcze, że ta... — major zawahał się — że ta piegowata to tu jest i wszystko wie. To mu się należy za ten czyn. Aha, kapitanie, a coście to chcieli wtedy powiedzieć?

Chciał powiedzieć kapitan, że należy ogień przenieść trochę w prawo, bo tam jest taki jeden dokuczliwy bunkier, bez przerwy pluje ogniem, jak z piekielnego pieca. Oczywiście, artylerzyści przenieśli ogień w prawo, na ten bunkier, bombardowali — i bunkier zamilkł. Zaczęło stawiać most.

Nad ranem, kiedy most był gotów i przetoczyły się po nim „czterdziestki piątki”, nieprzyjacieli uciekli. Nasi poszli za nim, a ja z Manią zebraliśmy się do kraju, szczególnie ja spieszyłam, żeby zdążyć i do domu i na piętnastego czerwca do Warszawy.

Po wielu tarapatach dobrnęłam do domu. Ojciec już nie żył, matka — jedno chodzące nieszczęście, brat gdzieś tulał się po świecie, chałupa zwęglona, pola tacy, a i to jeszcze zapuszczone.

Popatrzyłam na to wszystko, pocieszyłam mamę, jak mogłam i zbieram się dalej w drogę.

— Dokąd to? — pytają.

— Najpierw do Warszawy — mówię — tam mam być w jednym urzędowym domu, a potem do Dzieży, nad rzekę Nysę. Jak się tam urządzą, to napiszę do ciebie, mamu, i może mi jeszcze wesele wyprawisz.

Pociągami jeździłam bezpłatnie, bo miałam zaświadczenie, że jestem reparańtką. Więc dokołałam się do Warszawy akurat na piętnastego czerwca. A jaka była Warszawa, wie pan dobrze: ruiny i pogorzeliśka, i zasypane ulice, każdy skwer to cmentarz, wszędzie pył i chwasty. I tak ze ściśniętym sercem doszłam do tej Szucha ulicy, przy której katownia gestapowska była, gdzie i mego Antosia męczyli.

Stoję i czekam. Zapytałam przechodnia która godzina: za pięć trzecia. Mija

pięć minut, dziesięć, piętnaście — z początku niecierpliwie się, potem robię się zła, a potem ogarnia mnie potworny strach: A co, jeśli on nie żyje? Jeśli śpi gdzieś tam pod Dreznem i tylko trawy nad nim szumią? Musiałam się oprzeć o mur, bo całkiem osłabiałam.

W kilka minut potem przeciął jezdnię jakiś porucznik. Rozejrzał się niepewnie wokoło i ruszył w moim kierunku.

— Panna Kupczakówna? — zagadnął.

Skinęłam głową. Przypatrzyłam mu się: nie, nie znam go.

— Przecież to dzisiaj miało być spotkanie? — zapytał.

— Dzisiaj... Ale co ze Smolakiem?

W tej samej chwili zrozumiałam wszystko. Wszysciutko.

Porucznik chwycił mnie mocno za ramię i podtrzymał...

Szłam obok niego nieprzytomna. Obok znajdowało się zdruzgotane, spopieliałe miasto — i ja też byłam taka sama wypalona do cna. Słyszałam jakieś słowa, ale sens ich docierał do mnie bardzo powoli, opornie. Porucznik mówił:

żyto już było dojrzałe, że tylko kosić. Ucieszyło mnie to. Będzie robota, nagneplecy, lżej będzie żyć.

Do Dzieży szłam piechotą, tak jak wy dzisiaj. Za tym grubym kasztanem, obok którego zapewne przechodziliście, stała dawniej tabliczka z napisem „Deschau”. Teraz „Deschau” było przekreślone, a pod spodem wypisano czarną farbą: „Smolakowo”.

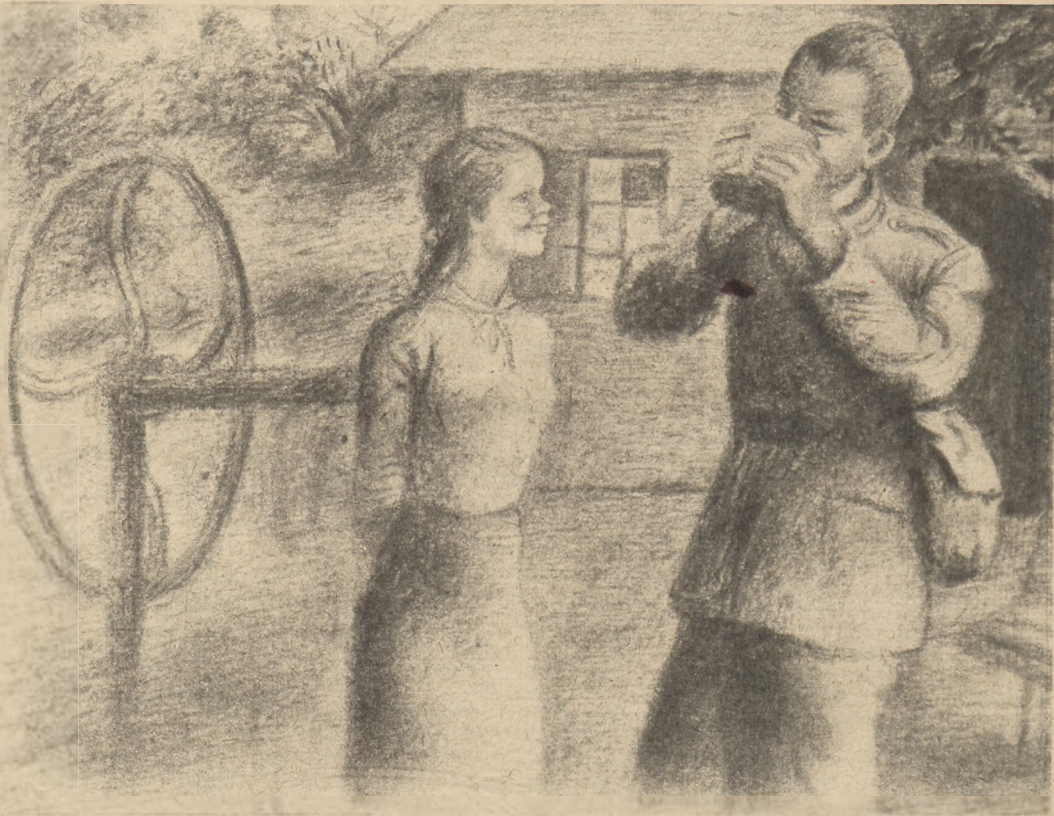
Tu mieszkali już osadnicy wojskowi i oni to właśnie orzekli, że czyn Smolaka zdecydował o losach przyczółka i dlatego osada winna nosić jego imię.

— Smolakowo — przeczytałam na głos. — Smolakowo — rozpamiętywałam półprzytomnie, idąc.

Generał Świerczewski, który był wówczas pełnomocnikiem rządu do spraw osadnictwa wojskowego, na nazwę zezwolił.

Ale kłopoty dopiero się zaczęły.

Pracowała wtedy komisja naukowa, ustalająca nazwy polskie na Ziemiach Odzyskanych. Przyjechał taki jeden cietrzewieniec i oświadcza, że tu jest Dzieża. — Owszem — my na to — Dzieża



Rys. T. Głeb

— Został śmiertelnie ranny w płuco nad rzeką Schwarzenschoeps. To było pod koniec kwietnia. Żył jeszcze kilka dni w naszym szpitalu polowym. Właśnie tam mi to wszystko opowiedział, ja byłam w szpitalu oficerem politycznym. Był zupełnie przytomny. Prosił, żebyśmy cię potraktowali jak rodzinę wojskową, bo wprawdzie jesteś młodą, piegowatą kózką — tak on powiedział — ale zapadłaś mu głęboko w serce. Kiedy chciał pić — mówił — dalaś mu wody i prosiłaś, żeby pił ostrożnie, bo może się przeziębć. I prosił, żebyś się na niego nie gniewała o tę „piegowatą”...

Lzy spływały mi po policzkach. Jemu też głos drżał.

— Potem powiedział o tym, że macie się spotkać, że ty będziesz czekać. I pytał, czy nie można jakoś tego załatwić. Przysięgał mi, że cię odnajdę. Majorowi oświadczyłam o jego ostatniej woli, spisaliśmy protokół, generał zatwierdził, i oto odpis.

Podał mi kopię tego protokołu. „Świerczewski” — przeczytałam u dołu. I wyżej moje nazwisko i nazwisko starszego strzelca Smolaka. „Akt niniejszy uprawnia ob. Kupczak Halinę do korzystania z wszelkich przywilejów, przysługujących wdowom po poległych”...

— Schowaj to, dziewczyno — prosił porucznik. — I przyjeźdź do nas. Przyjmujemy cię, jak rodzinę. Będiesz się wśród nas lepiej czuć, bo i myśmy go kochali.

Wróciłam do domu z tym papierkiem, relikwią po Antosiu, spakowałam się — nie, nie było co pakować — i w drogę. Sami wiecie, że nie łatwo się wtedy jeździło. Kiedy przyjechałam do Węglinca,

Dieżą, ale to jest miejscowość Smolaka, bo on tu na przyczółku... I wszystko wyjaśniamy. — Bez takich Smolaków — mówimy — kto wie, czy byście panowie te ziemie oglądali.

Tamten wyjechał wściekły. „Samo-wola! Niezdyscyplinowanie! Partyzantka!” Z województwa przyszło pismo, że ma być Dzieża. My, że nie, tylko Smolakowo. Poczta Smolakowo, gmina Smolakowo, rada gminna Smolakowo, milicja Smolakowo. Podatki? Owszem, ale płaci Smolakowo, żadna Dzieża.

Przychodzi pismo z ministerstwa. „Na mocy...” i tak dalej — ma być Dzieża. Wtedy my jeszcze raz prosimy pięknie, żeby jednak zostało Smolakowo. Powołujemy się na zezwolenie generała. Pod podaniem podpisują się wszyscy. Osadnicy z wyliczeniem orderów, a wdowy — bo tu mieszka wdowa po Stabińskim i po kapitanie Wietwieju, i jeszcze inne — wdowy tak: „mąż poległ tu a tu”.

Znow przyjechał jakiś z komisji. — Nie Smolakowo — mówi — i nie Dzieża, tylko Bobierzyce. Bobierzyce, jeszcze czego! A co z Dzieżą? Dzieża, okazuje się, to późniejsza nazwa, Bobierzyce zaś pochodzą z końca IX stulecia.

Z tymi Bobierzycami szybko upadło, ale za to przyjechała komisja znow w sprawie Dzieży. Byli to trzej starsi naukowcy, ludzie poważni, i czuło się, że tym razem nastąpi jakieś rozstrzygnięcie. Zwołało się zebranie, na które prawie wszyscy przyszli, z odznaczeniami, w odświętnych ubraniach. Sprawa poważna.

Wybraliśmy prezydium. Więc ci trzej profesorowie, Wietwiejowa jako prze-

INTRUZI

Korespondencja własna „Świata“

Londyn, we wrześniu

POWRACAJĄC do Anglii po kilkutygodniowej nieobecności człowiek zastanawia się, czy wyspa nie oddaliła się od kontynentu amerykańskiego, czy jakiś silniejszy wiatr nie odepchnął jej lekko i niepostrzeżenie odrobinę na wschód, dalej od amerykańskiego świata. Znaki tego oddalania się są. Niezbyt jaskrawe, jak zresztą wszystko w Anglii, której kolor jest raczej szary, ale jednak są.

Przede wszystkim ulica. Na ulicy, zwłaszcza wieczorem w dzielnicy rozrywkowej, roi się od Amerykanów. Żołnierze, oficerowie, lotnicy, często z żonami, częściej z przygodnymi towarzyszami. Wielu przebiera się w cywilne ubrania, ale na pierwszy rzut oka poznasz Amerykanina. W mundurach czy bez — są ludźmi z innej planety, inaczej są ubrani, inaczej się ruszają, są luźniejsi w stawach, chodzą jakby trochę rozkraczeni, jak marynarze na statku w czasie lekkiej niepogody. W cywilu — wypchane ramiona, szeroko skrojone marynarki, jaskrawe krawaty, a przede wszystkim kapelusze o wielkich rondach wyróżniają ich z daleka jako „obcych“, nietutejszych i — co tu dużo gadać — nieco śmiesznych. No i nie zapominajmy o języku. Twierdzenie, że język angielski i amerykański są identyczne, jest oczywiście fałszywe. Akcent nosowy, przypominający gęganie stada gęsi, jest irytujący. Arogancja zaś przybyszów nadaje temu językowi szczególnie podźwięk, wyraźnie Anglikom nienawistny.

Toteż nastrój na londyńskiej czy prowincjonalnej ulicy, zwłaszcza w pobliżu kin i lokali publicznych, jest milcząco wrogi. Gdy Amerykanin wchodzi do knajpy angielskiej, zapada cisza. Nikt mu nie robi żadnej przykrości, Angliki nienawidzą ostentacji. Nikt nie odmawia mu piwa, nikt nie robi uszczypliwych uwag. Ale rozmowa, która w owych „pubach“ angielskich jest zawsze ogólna, kończy się, jak urwana. Nikt się do intruza nie odzywa. Nerwowo wytrzymują zwykle Angliki, Amerykanin po krótkiej chwili wychodzi.

Są jednak bardziej namacalne i głośnie objawy niechęci. W ubiegłą niedzielę odbył się w wielkiej hali Empress Hall w Londynie wiec, pod hasłem „Pokój w Azji“. Wiec ten zgromadził dziewięć tysięcy osób, a wielu ludzi odeszło z kwitkiem sprzed sali. Przemawiali przedstawiciele najrozmaitszych środowisk, jak na przykład hrabia Bedford, J. B. Figgins, prezes związku zawodowego kolejarzy, i poseł labourystowski S. Q. Davies. Huraganem oklasków powitano wstępującego na trybunę dziekana katedry w Canterbury dr Hewletta Johnsona, który niedawno powrócił z dłuższej podróży po Chinach. Był on już przedtem w Chinach, w roku 1932, a teraz, w dwadzieścia lat później, miał okazję przekonać się, co władza ludowa w tak krótkim czasie potrafiła zdziałać dla tego wielkiego i wspaniałego kraju. „Nowe, twórcze Chi-

amerykańska sztuka. Włdowisko jest istotnie niezwykle interesujące, o napięciu dramatycznym. Akcja sztuki pt. „Wichrzyciele“ rozgrywa się w jednym z uniwersytetów USA. Grupa studentów morduje młodego kolegę za to, że pisuje on do tygodnika uniwersyteckiego artykuły o zabarwieniu postępowym, krytykujące posunięcia rządu amerykańskiego, zwłaszcza na arenie polityki międzynarodowej. Morderstwo tuszowane jest zarówno przez władze uniwersyteckie, jak i przez władze miejskie, policję, a wreszcie sąd. Nikt nie chce splamić „honoru“ znanego miasta uniwersyteckiego dlatego tylko, że zamordowano tam „podejznanego wywrotowca“, któremu zachciało się samodzielnie myśleć.

Teatr, nabity publicznością, reagował niesłychanie żywo. Gdy w ostatnim akcie bohater sztuki z wzniesioną pięścią krzyczy do grupy chuliganów: „Poczekajcie, niedługo się z wami rozprawimy. Gdy nadejdzie czas będziemy gotowi!“ — rozlegają się burzliwe oklaski. Patrzymy dokoła. Za nami siedzi dwóch księży, z boku kilka starszych pań. Wszystko to klaszcze zapamiętale. Tymi oklaskami Angliki mogli pokazać bez słów, jakie są ich prawdziwe uczucia wobec amerykańskiej propagandy, chuliganstwa, wzrastającego terroru i nietolerancji. Raz po raz kłaniali się aktorzy, a oklaski nie milkły. Aż zapaliły się światła i zabrzmiał hymn narodowy.

Najciekawsze były jednak recenzje. Nawet reakcyjna prasa nie mogła ukryć swego zadowolenia, że sztuka, pokazująca chamstwo amerykańskie, ukazała się na scenie londyńskiej. Niektóre gazety, chwalać dramatyczność akcji i świetną grę, próbowały jednak kwestionować wątek utworu, twierdząc, że wypadek taki nie mógł się w rzeczywistości zdarzyć. Jest to bądź naiwność, bądź nieświadomość. Wypadek taki, a właściwie ten konkretny wypadek zdarzył się w roku 1950 na uniwersytecie Dartmouth w stanie New Hampshire. Grupa reakcyjnych studentów pobiła wtedy tak okrutnie młodego kolegę, który krytykował politykę amerykańską w Azji i stanowisko delegacji amerykańskiej w ONZ — że ofiara zmarła pod ciosami. Morderstwo zostało zatuszowane. Na tym wypadku osnuta jest sztuka, która co wieczór do głębi wstrząsa londyńskich widzów.

MARTA STEFAŃSKA



Huraganem oklasków powitano dziekana katedry w Canterbury — dr Johnsona.

wodnicząca gminnej rady narodowej i wdowa po bohaterskim kapitanie, ja — bo aktywistka, porucznik Żuch, który osadę zorganizował i plutonowy Cichecki, sekretarz partii. Wietwiejowa zaczęła od minuty ciszy ku czci żołnierzy poległych w bitwie o Nysę.

Następnie zabrał głos jeden z profesorów, łysawy, siwiutki, ze spiczastą bródką. Mówił dobroliwie:

— Czy to tak można, obywatelu? Wasze stanowisko jest ahistoryczne i nawet, powiedziałbym, szkodliwe. Co oznacza nazwa „Dzieża“?

I zaczął mniej więcej, tak jak wy. A tu Bolesław Chrobry piekł suchary, a tam znajduje się jego baszta, a w wąwozie trzeba się dokopać płyty, którą złożył Henryk Brodaty, a w portalu kościoła jest wyrzeźbiona głowa Zbigniewa, syna Władysława. I to jest nasze prawo do tej piastowskiej ziemi. To, że Dzieża...

— A że Smolak? — zawołałam krztusząc się ze złości.

— A cóż to znowu za Smolak? — zapytał profesor.

— To, że Smolak o tę właśnie Dzieżę i o tę Basztę Chrobrego się bił — to nie? Tutaj! Dwa kilometry stąd! Bił się on i tylu innych, właśnie o te piastowskie ziemie, i żeby wrócić do Polski.

— Proszę, proszę — mruczał profesor. — Może ktoś opowie to jakoś porządnie?

Wstał plutonowy Cichecki, który także był na tym przyczółku i opowiedział, jak oni zostali w nocy bez połączenia z macierzystym brzegiem, jak z tego niemieckiego bunkra biła śmierć i jak Smolak skoczył do wody i wśród tego jągotu naprawił połączenie i przyspieszył zwycięstwo. W kilka dni potem nad rzeką Schwarzenschoeps przestrzeliło mu płuco, kiedy szedł do ataku.

Wstała Wietwiejowa, wdowa po kapitanie, i opowiedziała — nie uwierzycie — opowiedziała całą tę historię o mnie i o Antosiu. I ci trzej profesorowie chrząkali i sięgali po chusteczki i wycierali sobie oczy.

Na zakończenie jeden z profesorów oświadczył:

— Komisja dziękuje wszystkim za wzięcie udziału w tej niewątpliwie owocnej dyskusji. Orzeczenie zostanie wydane po naradzie, którą komisja odbędzie w nocy.

Nazajutrz ogłoszono orzeczenie: będzie Smolakowo. Tylko wieża będzie się nazywała Basztą Dzięską ze względu na historię.

Zostało Smolakowo — na zawsze.

Kiedy mi o tym mówiła, oczy jej rozblęły — pewnie tak wyglądała wówczas przy studni, gdy podawała Smolakowi wodę — i znowu zaczęło mnie coś korcić, że z tych włosów trzeba upleść warkoczki, a do warkoczków przywiązać kokardki...

— A wy? — zapytałam.

— Widzicie, pomyślałam sobie, że przecież Antos chciał, żeby tu była polska szkoła i szczęśliwe polskie dzieciaki, a ja nic nie umiem i w niczym nie potrafię im pomóc — gotować, sprzątać, krowy doić — i tyle mojej wiedzy. Zaczęłam się uczyć...

W godzinę później stałam nad brzegiem Nysy. Rzeka płynęła leniwa, zielona, cicha, ledwie gdzieś tam plusnęła. Słońce zachodziło i odbijało się w wodzie rdzawymi plamami. W wysokich topolach kukała uparcie kukułka. Gdzieś daleko poświstywał przeraźliwie jakiś ptak-łobuz, zupełnie, jakby mały chłopiec gwizdał na palcach. Poza tym było tak cicho, jak wówczas, owego kwietniowego ranka 1945 roku, kiedy wróg pierzchnął i zakończył się bój.

Na przeciwległym, niemieckim brzegu Nysy, łopotały między wierchołkami brzoź transparenty — czarne litery na białym tle. O Odrze i Nysie, granicy pokoju.

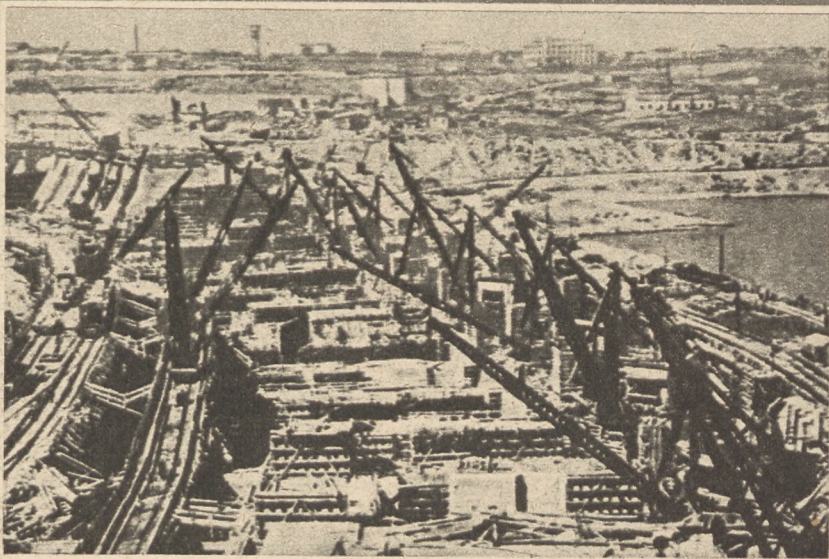
— Widzicie — zapytał żołnierz WOP, który mnie tu oprowadzał.

— Widzę.

Spojrzałam na wodę. Dogasały w niej ostatnie promienie słoneczne. Przymrużyłam oczy i przez chwilę wydawało mi się, że widzę dygocący na wodzie cienki drut telefoniczny, ten właśnie, którym starszy strzelec Antoni Smolak, połączył przed laty oba brzegi.

JÓZEF HEN

(Opowiadanie z tomu nowel pisarzy polskich o Ziemiach Zachodnich, który ukazuje się nakładem „Naszej Księgarni“).



Rok 1930. Tak wyglądała zapora Dnieprogesu w czasie budowy.



Rok 1932. Dnieproges gotowy! Przez zapórę runęły wody rzeki.

20 LAT PÓŹNIEJ

Napisał: E. KARŁOWICZ

KIEDY Sienkiewicz chciał podkreślić szaleńczą odwagę jednego z bohaterów „Trylogii”, Bohuna, napisał, że Bohun na kozackiej łodzi „czajce” przepłynął jeden z dneprowskich porohów — Nienasytec.

Dniepr, rzeka o długości blisko 2.300 kilometrów, była od stuleci jedną z najważniejszych arterii komunikacyjnych wschodniej Europy, drogą z krajów nadbałtyckich do Bizancjum i Turcji. Ale właściwie składała się z dwóch oddzielnych odcinków — w odległości około 400 kilometrów od ujścia przecinały ją słynne dneprowskie porohy — kamieniste progi, które pochłoneły niejednego statek kupiecki czy łódź rybacką. Historia nie często wspominała o śmiałościach takich, jak Bohun. Podróżnicy wyciągali swe łodzie na brzeg i po uciążliwym transporcie lądowym opuszczali je już poniżej groźnych progów.

W XVII stuleciu, gdy znaczenie komunikacyjne Dniepru zaczęło gwałtownie wzrastać, podjęto pierwsze próby zlikwidowania odwiecznej przeszkody. Rosyjscy żołnierze pułkownika Falejewa na łodziach i tratwach podrywali do kamieni, zakładali ładunek prochu z lontem, wracali na brzeg. Wybuch — i kamień zostawał na miejscu, z lekka tylko od góry nadłupany. Wiele prochu, wiele istnień ludzkich kosztowało to bezskuteczne przedsięwzięcie.

Znacznie później, przez 29 lat (1825—1854) pańszczyźniani chłopci kopali kanały, którymi łodzie i statki miały wymijać porohy. I ta próba nie dała rezultatu: prymitywne urządzenia znosiła fala powodziowa. Sześć kolejnych prób usunięcia kamieni i przekopania kanałów ostatecznie udowodniło, że problem można rozwiązać tylko inną drogą.

ZAPORA I OPORY

Tę inną drogę proponowali przed Rewolucją liczni inżynierowie rosyjscy: tylko zapora, która podniesie poziom wody i zatopi tym samym porohy, może umożliwić żeglugę. I słyszeli od urzędników w carskich ministerstwach nieodmiennie jedną odpowiedź: nie ma siły, która zmusi właścicieli ziemi nad Dnieprem, a w pierwszym rzędzie członków rodziny carskiej, do sprzedaży części swych posiadłości. A więc — o budowie zapory nie może być mowy.

Mówiono obszernie na ten temat znacznie później, bo w grudniu 1926 roku, w jednej z sal Kremla. Odbывало się tam posiedzenie Rady Komisarzy Ludowych, która na wniosek Józefa

Stalina powzięła uchwałę o budowie zapory i elektrowni wodnej na Dnieprze według projektu inżyniera I. G. Aleksandrowa, późniejszego członka Akademii Nauk. W trzy miesiące później kolejna uchwała powołała do życia przedsiębiorstwo budowlane, którego nazwa obiegła wkrótce cały świat: „Dnieprostroj”.

Budowę rozpoczęto od przygotowania osiedli mieszkalnych dla robotników.

Jesienią 1927 roku było gotowe całe nowe miasto z siecią wodociągów i kanalizacji, szpitalem i polikliniką, z wielką fabryką-kuchnią, obliczoną na wydawanie setek tysięcy posiłków dziennie. W tym samym czasie na apel partii i Komsomołu zaczęły napływać nad Dniepr tysiące ochotników-budowniczych. W grudniu 1927 roku gotowa była tymczasowa elektrownia, obsługująca miasto i teren budowy.

Potrzebny na budowie sprzęt mechaniczny częściowo wykonał młody przemysł radziecki, częściowo sprowadzono z zagranicy. Niektóre urządzenia wykonały firmy zagraniczne na podstawie planów i dokumentacji, sporządzonych przez radzieckich konstruktorów.

KLIENCI WYMAGAJĄ

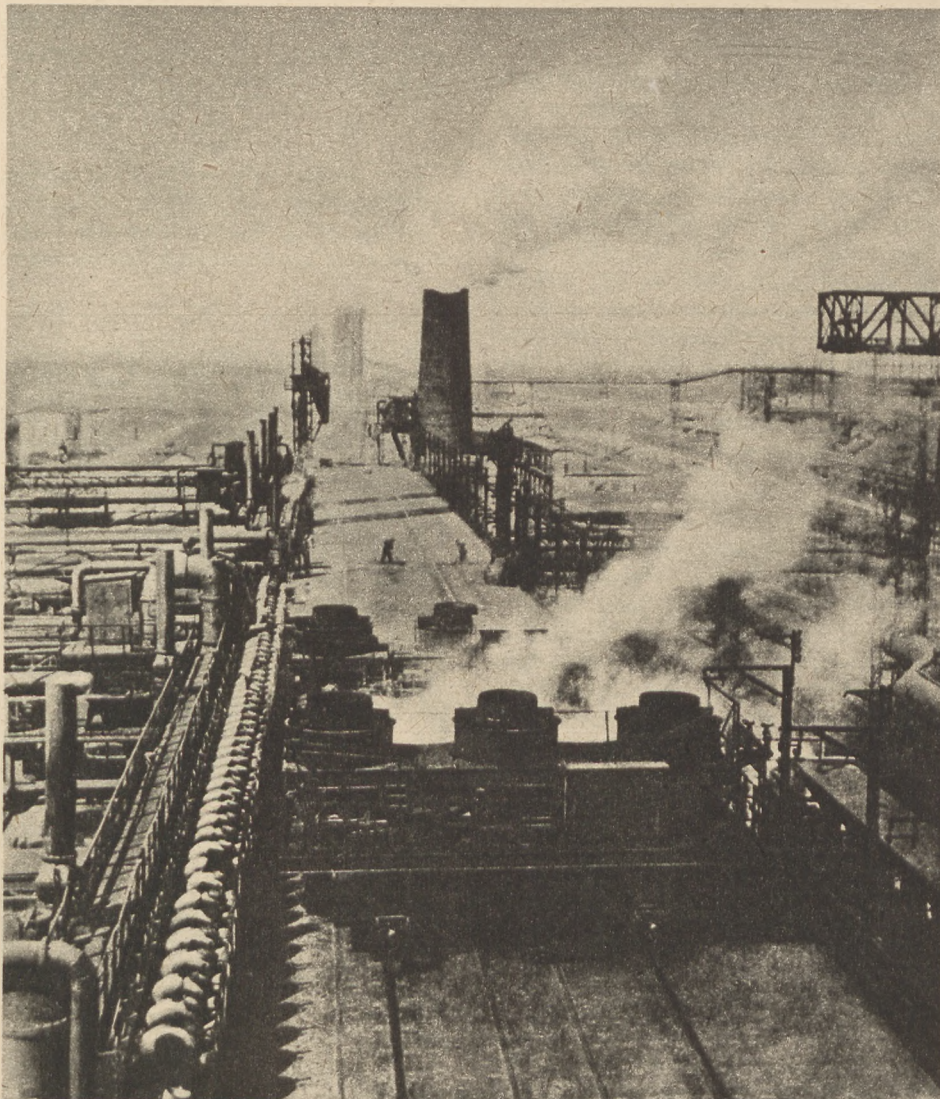
Już w pierwszym okresie budowy zmieniono pierwotny plan, dotyczący nowej elektrowni wodnej. W pobliżu budowy rosły nowe, ogromne zakłady przemysłowe, jak huta „Zaporożstal”, Dnieprowskie Zakłady Aluminiowe, kopalnie w Krzywym Rogu i Nikopolu, fabryki Dnieprodzierżyńska. I wszystkie one musiały otrzymywać coraz więcej energii elektrycznej. Dlatego też zmieniono planowaną moc Dnieprogesu z 390 tys. na 550 tys. kilowatów, zmniejszając równocześnie ilość turbin z 13 na 9, ale dwukrotnie wydajniejszych.

W roku 1928 prace trwały już na całym, wielokilometrowym froncie budowy. Robotnicy, inżynierowie i technicy dawali niejednokrotnie przykłady bohaterstwa pracy, łamali stare normy, tworzyli nowe metody, kształcili się i kształcili innych. Setki studentów, przyjeżdżających na praktykę, uczyli się w dzień, by w nocy pracować na jakimś zagrożonym odcinku. W roku 1930 otwarto na „Dnieprostroju” technikum; wykładowi w nim inżynierowie i technicy z budowy. Sale wykładowe mieściły się w hotelach robotniczych, ale za to pracowni były takie, jakich nie miała żadna na świecie uczelnia: wznosząca się zapora i urządzenia największej w Europie elektrowni wodnej!

Dnieprowską budowę „opiekowała się” od pierwszych dni prasa kapitalistyczna. Co pewien czas ukazywały się „sensacje z ostatniej chwili” o rzekomych katastrofach, o bezcelowości budowy, „bo elektrownia i tak nie będzie działać”. Ale miliony przyjaciół Kraju Rad z uwagą śledziły za postępami wielkiego budownictwa, przysyłały listy i depesze z życzeniami i słowami otuchy.

„PROSIMY PRZEKONAĆ SIĘ!”

Równo dwadzieścia lat temu, w pochmurny ranek 10 października 1932 roku, zgromadzili się przy gmachu potężnej elektrowni dziesiątki tysięcy budowniczych Dnieprogesu, okolicznych chłopów, robotników pobliskich fabryk. W uroczystej ciszy opadła przecięta



Jeden z licznych „klientów” Dnieprogesu, korzystających z energii elektrycznej dneprowskiego olbrzyma: wielkie zakłady koksochemiczne w Zaporozżu.

czerwona wstęga, zamykająca dostęp do tablic rozdzielczych. Kilka poruszeń dźwignią — i dziewięć potężnych turbin zaczęło obracać się — przy akompaniamencie niezliczonych okrzyków i braw.

Na trybunie stał wzruszony przedstawiciel rządu radzieckiego, Sergo Ordżonikidze. Wyciągając rękę w stronę ogromnej, wysokiej na 60 metrów zapory, w stronę linii wysokiego napięcia, po których płynął prąd do setek fabryk, wołał pod adresem zagranicznych sceptyków: „Niedowiarkowie i wątpiaczy, prosimy uprzejmie przekonać się — Dnieprowska elektrownia wodna działa!”

Upłynęły od tego czasu dwa dziesięciolecia. I dziś znów nad Dnieprem wre wyteżona praca, znów zostało powołane do życia przedsiębiorstwo „Dnieprostroj”. Ludzie radzieccy wznoszą tu jedną z budowli komunizmu: Kachowski węzeł hydroenergetyczny, Kanał Południowo-Ukraiński i Północno-Krymski.

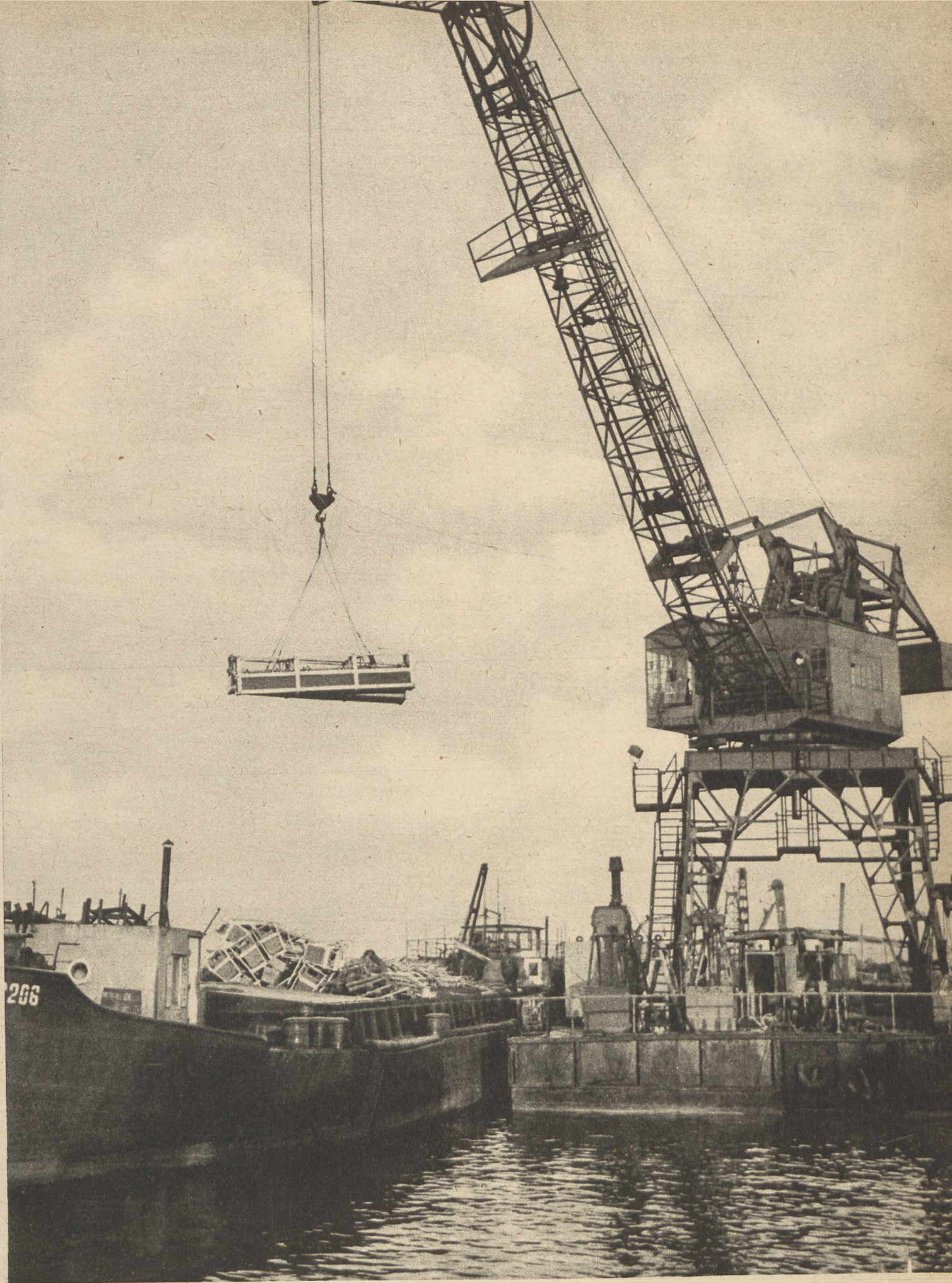
Podobny jest cel tej pokojowej budowy, podobny entuzjazm budowniczych, podobna opieka i troska, jaką otacza „Dnieprostroj” cały naród radziecki. Ale jakże się zmieniły warunki budowy! Wtedy — sprowadzano z zagranicy mało wydajne koparki parowe i trzytonowe ciężarówki, teraz — pracują na Kachowskiej budowie najdoskonalsze koparki z Uralu i Nowokramatorska, 25-tonowe samochody-wywrotki z fabryki w Mińsku. Wtedy — trzeba było w pośpiechu zakładać bazę energetyczną dla budowy, montować pomocniczą elektrownię z dość przypadkowo zebranych elementów. Teraz — w krótkim czasie wybudowano połączenia z tym właśnie samym Dnieprogesem — i tysiące mechanizmów na budowie mają pod dostatkiem energii elektrycznej.

Inna jest dziś skala, inny rozmach wielkiego budownictwa nad Dnieprem. Doszedł nowy ważny element — nawodnienie ponad trzech milionów hektarów suchych stepów na Ukrainie i Krymie. Między innymi dlatego zaporą w Kachowce tworzy dziesięciokrotnie większy zbiornik wodny (liczący 14 miliardów metrów sześciennych objętości), niż zbiornik przy zaporze Dnieprogesu. Prace betonowe przy nowej budowlie będą dwa razy większe, niż przy Dnieprogesie, prace ziemne — ze względu na budowę sieci kanałów nawadniających — stokrotnie większe.

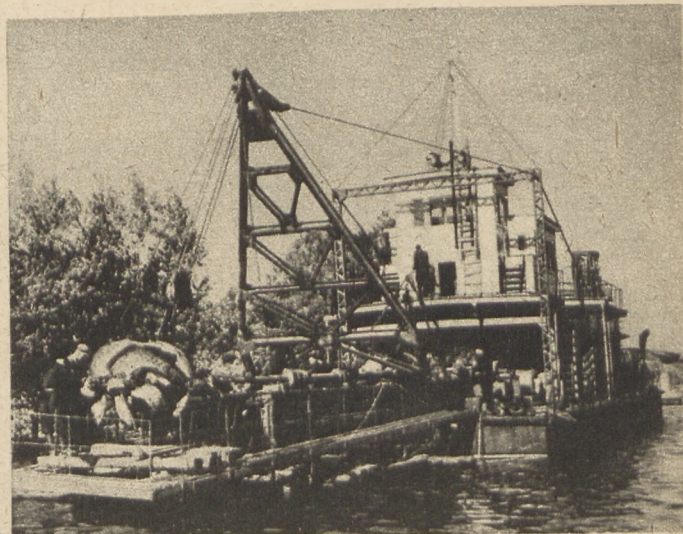
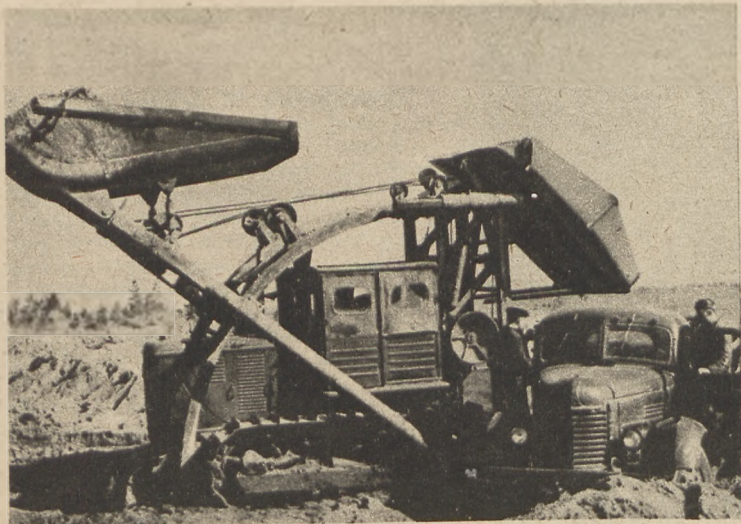
Można dodać jeszcze, że dziś trwa na terytorium ZSRR budowa wielu ogromnych urządzeń hydroenergetycznych, że dziś budowane elektrownie na Wołdze — Kujbyszevska i Stalingradzka — będą miały 3 — 4 razy większą moc niż Dnieproges, że nie tylko na Wołdze, ale na Irtyszu, Angarze, Amu - Darii powstają całe łańcuchy potężnych elektrowni wodnych...

Ale i dziś inżynierowie i robotnicy nad Wołgą i na Kaukazie, na Syberii i w środkowo-azjatyckich pustyniach z miłością i szacunkiem mówią o Dnieprogesie, ze wzruszeniem wspominają dni jego budowy i odbudowy. Ale i dziś słowo „Dnieproges” budzi ciepłe uczucie w sercach milionów ludzi na wszystkich kontynentach.

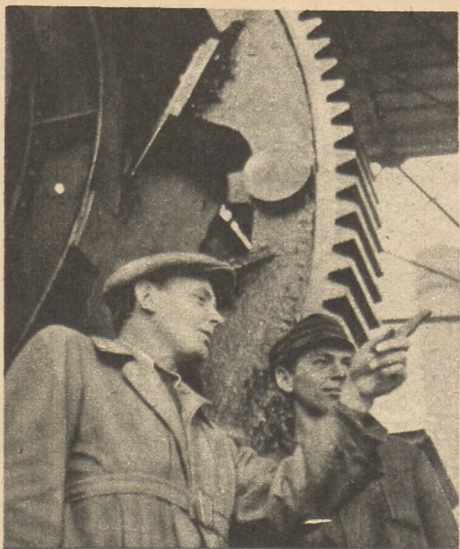
Bo budowa dnieprowska była szkołą dla tysięcy radzieckich hydroenergetyków, była przedmiotem dumy i źródłem otuchy. Bo budowa dnieprowska pokazała światu twórcze możliwości wolnego narodu radzieckiego, narodu — gospodarza swego kraju i swej ziemi.



PRZEZ PORT W CHERSONIU PRZECHODZĄ SETKI BAREK Z ŁADUNKAMI DLA WIELKIEJ BUDOWLI W KACHOWCE.



Nowoczesne mechanizmy, zastępujące na wielkich budowlach pracę fizyczną. Od lewej: mechaniczna ładowarka napelniająca w ciągu kilku sekund trzytonową ciężarówkę; elektryczna koparka OM-202; pompa ziemna typu „300-40”. Na dnieprowskiej budowie pracować będzie 600 koparek, 500 buldożerów, 1900 spychaczy, 130 pomp ziemnych, wiele tysięcy samochodów i traktorów. Rozmiar prac ziemnych będzie na tej budowie przeszło osiem razy większy, niż przy budowie kanału Sueskiego!



Inż. Stefan Koźmiński położył wielkie zastugi przy montażu kolosalnych urządzeń i maszyn cementowni w Wierzbicy.

ZDJĘCIA: WŁ. SŁAWNY

MASZYNA WYZWALA CZŁOWIEKA

Potężnym organizmem wierzbickiej cementowni kieruje niewielu tylko ludzi obsługujących przyrządy rozdzielcze.



Wierzbicka fabryka cementu należy do najnowocześniejszych w Europie.

POMYŚLMY: W fabryce, która produkuje setki tysięcy ton cementu w ciągu roku — a więc tyle, ile potrzeba na wybudowanie 30 wielkich fabryk — pracuje zaledwie kilka setek ludzi, a żaden z nich nie ma potrzeby uniesienia w górę nawet 5 kilogramów!

Wierzbica, to jedna z najnowocześniejszych cementowni w Europie — o tym się słyszy często, ale trzeba dopiero popatrzeć jak to wygląda! Margiel, podstawowy surowiec do wyrobu cementu, wyrwany z ziemi mechaniczną koparką niebawem znajdzie się w wagonach jako gotowy produkt, doprawdy nie dotknięty ludzką ręką, jeśli pominąć inżyniera, badającego w różnych momentach jego jakość. Po drodze radzieckie mechanizmy poczynają sobie najdziwniej z tym szarym minerałem z radomskiego pola rodem: w potężnych szczękach łamaczy margiel — kamień przeradza się w margiel-proszek. Z wi-

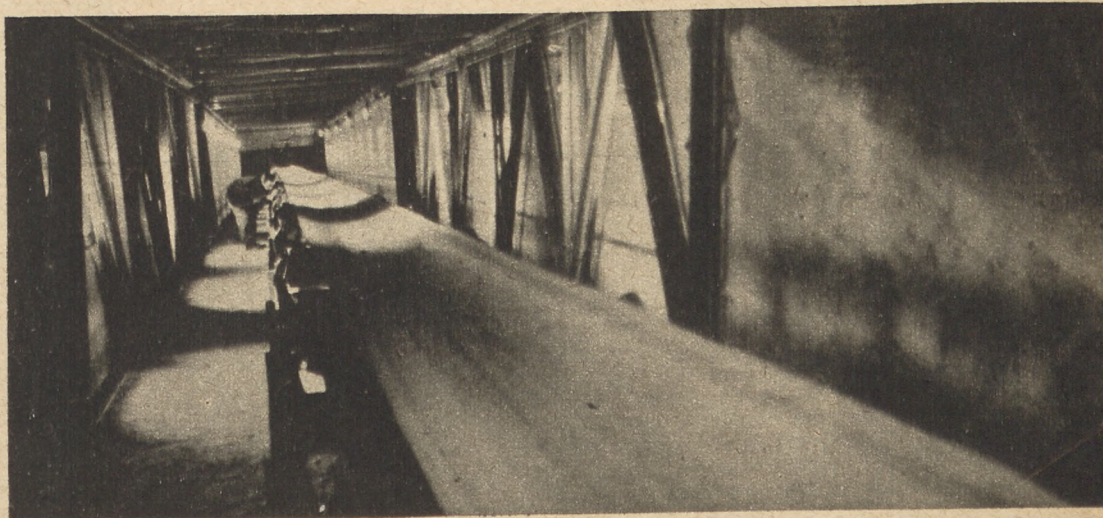


...ocześniejszych w Europie. Dozorowane przez ośmiu ludzi obrotowe piece-giganty wypalają rocznie tysiące ton klinkieru, podstawowego materiału do produkcji cementu.

ącego cylindra, w którego wnętrzu
ładzie? Maszyny pracują za nich, ale też
wymagają za to specjalnej opieki i przy-
jaźni. Wiele ludzi z Wierzbicy, Jastrzę-
bia i innych pobliskich wiosek poznało
już te uczucia. Kranista Mieczysław Ja-
worski, majster zmianowy Stefan Gro-
mek, palacz Bajer i tylu innych — pod
kierunkiem radzieckich ekspertów i
polskich inżynierów weszli w nowy
etap życia. A byli to do niedawna ma-
łorolni chłopcy, którzy dusili się na kamie-
nistych półkach (właśnie ten margiel!).
Wiele z nich nigdy nie przypuszczało,
że tak blisko swoich walących się za-
gród znajdzie nowy los, o ileż lepszy od
poprzedniego.

Takie są wierzbickie maszyny. A lu-
dzie? Maszyny pracują za nich, ale też
wymagają za to specjalnej opieki i przy-
jaźni. Wiele ludzi z Wierzbicy, Jastrzę-
bia i innych pobliskich wiosek poznało
już te uczucia. Kranista Mieczysław Ja-
worski, majster zmianowy Stefan Gro-
mek, palacz Bajer i tylu innych — pod
kierunkiem radzieckich ekspertów i
polskich inżynierów weszli w nowy
etap życia. A byli to do niedawna ma-
łorolni chłopcy, którzy dusili się na kamie-
nistych półkach (właśnie ten margiel!).
Wiele z nich nigdy nie przypuszczało,
że tak blisko swoich walących się za-
gród znajdzie nowy los, o ileż lepszy od
poprzedniego.

Przykład tych, co związali się z prze-
mysłem, działa jak magnes: z szeregow
jeszcze nieufnych coraz się ktoś odry-
wa po to, aby później cieszyć się ze swe-
go nowego zawodu.



Transport wewnętrzny w cementowni wierzbickiej wykonują całkowicie sprawne mechanizmy.



HOWARD FAST

Bunt GLADIATORÓW

Howard Fast

Nowa powieść Howarda Fasta p.t. „Spartacus” ukazała się w Stanach Zjednoczonych w okresie wzmożonego terroru i prześladowania wszelkiej myśli postępowej. Toteż znakomity pisarz nie mógł znaleźć dla swego dzieła wydawcy i musiał książkę wydać własnym nakładem oraz zorganizować jej kolportaż. Piśsze o tym w postawie do swej powieści:

„Czytelników, których zdziwi brak nazwy wydawnictwa na okładce mej książki, pragnę poinformować, że została ona wydana nakładem autora. Stało się to konieczne, gdy autor przekonał się, że w panującej dziś (w USA) atmosferze, żaden wydawca nie chce podjąć się ani wydania, ani rozpowszechniania

książki. Publikację utworu umożliwiły mi setki czytelników, którzy zaufali autorowi i zapłacili za książkę, zanim się jeszcze ukazała, co umożliwiło mi druk.

Autor pragnie tym czytelnikom podziękować z całego serca. Jest również wdzięczny szeregowi ludzi, którzy pomogli mu opracować i zaadaptować manuskrypt, jak również tym, którzy przygotowali makietę książki i pomagali przy jej druku. Autor ma nadzieję, że w jednym z następnych wydań, gdy nadejdą czasy, kiedy ludzie ci nie będą narażeni za to na represje i prześladowania, będzie miał sposobność wymienić ich nazwiska i złożyć im publicznie podziękowanie”.

Tłumaczyła: M. MICHAŁOWSKA

Ilustrował: S. SAMBORSKI

SMIERĆ, która spotkała Batiatusa, lanistę*), była śmiercią taną i podłą. Zamordował go własny niewolnik. I nie jest wykluczone, że Batiatus uniknąłby tej śmierci oraz wielu innych rzeczy, gdyby po tamtych, nieudanych zapasach, kazał zabić od razu obydwu zwycięskich gladiatorów. Miał po temu pełne prawo, albowiem uśmiercanie gladiatorów, szerzących niezadowolenie, było powszechnie przyjęte. Ale jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy śmierć Spartakusa w czymkolwiek zmieniłaby bieg historii. Siły, które wysunęły go na czoło, znalazłyby sobie po prostu inne ujęcie... Taka jest odpowiedź na pytanie wielu ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć, jak zrodził się spisek Spartakusa. Nie był on bowiem sprawą jednego człowieka, lecz dziełem wielu, bardzo wielu ludzi.

Warynia, germańska żona Spartakusa, czuwała nad nim, gdy spał. Spartakus jęczał przez sen, mówił coś bez przerwy. Gadał o wielu sprawach. To śniło mu się, że jest dzieckiem i pracuje w kopalni złota, to znów, że jest gladiatorem i walczy na arenie, i nagle, że sica — (zakrzywiony sztylet) przeszywa mu ciało. Wrzasnął więc na cały głos.

Wtedy Warynia obudziła go. Nie mogła dłużej znieść aby dręczyły go koszmary. Obudziła go więc i zaczęła delikatnie głaskać czoło i całować wilgotną jego skórę. Gdy Warynia była małą dziewczynką przyglądała się kobietom i mężczyznom swego szczepu, którzy byli zakochani. Miłość nazywała się w języku szczepowym triumfem nad strachem. Nawet diabły i duchy żyjące w wielkim lesie wiedziały, że zakochani nie znają uczucia strachu. Widać to było wyraźnie w oczach zakochanych par, w ich ruchach, w sposobie w jaki chodzili obok siebie, jak splatali dłonie. Później, gdy wzięto ją w niewolę, zapomniała o tych wszystkich sprawach i podstawowym uczuciem jej życia stała się nienawiść.

Lecz teraz cała osobowość Warynii, całe jej ciało, szum jej krwi i rytm jej serca, wszystko to tętniło wielką miłością do trackiego niewolnika. Wiedziała znowu, że przeżycia zakochanych par z rodzinnego szczepu były prawdziwe i wielkie, i ważne, i wspaniałe. Nie bała się teraz niczego na świecie. Wierzyła w czary, lecz czar jej miłości był prawdziwy i dotykający. Jednocześnie wiedziała, że jej mężczyzna jest łatwy w miłości i w pożyciu. Był jednym z nielicznych ludzi wyciosanych z jednej bryły. To była pierwsza rzucająca się w oczy cecha Spartakusa. Był jednolity. Był jedyny. Miał wielką równowagę ducha, wynikającą nie z jego pozycji życiowej, lecz z wewnętrznej siły. Nawet tutaj, w tej wylegarni strasznych, potępionych, zrozpaczonych ludzi — w tej morderczej gladiatorskiej szkole skazanych morderców, dezterterów, straconych dusz, katorżników, których katorka nie potrafiła złamać, nawet tu kochano i całowano Spartakusa. Ale jej miłość była inna...

Dlaczego był taki, a nie inny, tego nie wiedziała. Dość długo żyła wśród zepsutej, lecz jakże kulturalnej i wykształconej arystokracji rzymskiej, by wiedzieć jakcy byli tam mężczyźni. Nie umiała zrozumieć, jak niewolnik mógł wyrosnąć na takiego wspaniałego człowieka.

Uspokoił się pod kojącym dotknięciem jej rąk, a ona zapytała: — Co ci się śniło? Potrząsnął głową.

— Przytul się do mnie, to nie będziesz więcej śnić.

Przycisnął ją do siebie i szepnął: — Czy wiesz o tym, że może nadejść taki czas, kiedy nie będziemy razem?

— Wiem.

— Co wtedy zrobisz, kochanie? — zapytał.

— Wtedy umrę — odpowiedziała prosto i bez wahania.

— Chciałbym z tobą o tym pomówić — powiedział, rozbudzony już ze swego snu i bardzo spokojny.

— Po co o tym myśleć i mówić?

— Dlatego, że gdybyś mnie mocno kochała, nie myślałabyś o śmierci, nawet, gdyby mnie zabrali.

— Tak sądzisz?

— Tak.

— Gdybym umarła, czy nie chciałbyś także umrzeć?

— Nie, chciałbym żyć.

— Dlaczego?

— Bo bez życia nie ma nic.

— Bez ciebie nie ma życia — odpowiedziała.

— Chciałbym, żebyś mi coś przyrzekła i żebyś dotrzymała słowa.

— Jeżeli przyrzeknę, to dotrzymam, inaczej nie przyrzeknę.

— Chciałbym, żebyś przysięgła, że nigdy nie odbierzesz sobie życia — powiedział Spartakus.

Nie odpowiadała przez dłuższy czas.

— Obiecujesz?

Wreszcie powiedziała: — Dobrze, obiecuję.

Po chwili zasnęła i spała spokojnie w łagodnym uścisku jej ramion.

* * *

Nad ranem rozległy się bębny wzywające do ćwiczeń. Codziennie przed śniadaniem gladiatorzy musieli czterdzieści minut spędzać na ćwiczeniach fizycznych. Przed tym każdy otrzymywał szklankę zimnej wody do picia. Cele otwierały się. Jeżeli ktoś miał kobietę, pozwalano jej sprzątać celę, zanim poszła do swojej roboty w zabudowaniach szkoły. W szkole Lentulusa Batiatusa żadna para rąk nie próżnowała. Kobiety gladiatorów używane były do najrozmaitszych posług: szorowały podłogi, gotowały, zmywały, uprawiały ogród warzywny, pracowały w łaźniach, doglądały kóz. Batiatus nie znał litości i traktował je równie ostro jak najsurowszy właściciel plantacji, nie szczędził bata i karmił je ochlapami. Lecz przed Spartakusem i Warynią odczuwał dziwny lęk, chociaż trudno byłoby mu powiedzieć, czego się bał i dlaczego.

Tego pamiętnego rana w całej szkole panowała atmosfera podniecenia i nienawiści. Odczuwało się ją w łoskocie bębnow, w pośpiechu, z jakim trenerzy gnali gladiatorów z cel na podwórze, żeby ustawić ich twarzami do żelaznego płotu, z którego zwisały zwłoki ukrzyżowanego Afrykanina. Dozorcy kobiet rozdzielali razy batami na wszystkie strony, poganiając je do pracy. Ale Warynia nie bała się niczego, chociaż bat dozorczy bynajmniej jej dziś nie oszczędził. Wprost przeciwnie,

* Właściciel szkoły gladiatorów.

dozorca bił dzisiaj ze szczególną wściekłością, obrzucając ją różnymi epitetami. Pognali ją do kuchni, w której pracowała.

Gniew Batiatusa przenikał całą szkołę. Wielki, straszliwy gniew, z powodu — który najbardziej zawsze złościł lanistę: z poczucia finansowej straty. Brakus nie zapłacił umówionej ceny i mimo że Batiatus zamierzał wytoczyć mu sprawę, wiedział, że wygranie procesu wytoczonego przeciwko członkowi wybitnej rodziny rzymskiej było w rzymskim sądzie rzeczą zupełnie beznadziejną. Następstwa gniewu lanisty dawały się odczuć na każdym kroku. W kuchni kucharz kłął kobiety i poganiał je do pracy długą drewnianą warząchwą. Trenerzy, bici przez swego pana, bili z kolei gladiatorów, a trup czarnego zapasnika pustymi oczodołami patrzył na towarzyszy, gdy ustawiono ich pod płotem.

Spartakus zajął swoje miejsce w szeregu. Po jednej stronie miał Gannikusa, po drugiej Gala, imieniem Kriksus. Gladiatorzy stali w dwóch rzędach wzdłuż bloku, a trenerzy byli dziś wyjątkowo ciężko uzbrojeni. Cztery drużyny żołnierzy, czterdziestu ludzi ukazało się za bramą, każdy trzymał w lewej ręce długą drewnianą włócznię. Poranne słońce rozjaśniło żółty piasek i zaczęło delikatnie przygrzewać, lecz Spartakus nie odczuwał ciepła. A gdy Gannikus szepem zapytał, czy zdaje sobie sprawę z tego, co to wszystko oznacza, potrząsnął w milczeniu głową.

— Czy walczyłeś wczoraj? — spytał Gal.

— Nie.

— Ale Afrykanin nie zabił żadnego z nich. Jak już umrzeć, to można życie sprzedać za wyższą cenę.

— Czy myślisz, że sam umrzesz lepszą śmiercią? — spytał Spartakus.

— Zdechnę jak pies, tak samo jak ty — powiedział Gal Kriksus. — Zdechnę na arenie z rozprutym brzuchem, tak samo jak ty.

Wtedy to, w tej właśnie chwili, Spartakus zrozumiał, co powinien robić. A raczej ściślej mówiąc, w tej chwili stało się rzeczywistością to, co od dawna w nim dojrzewało. Właściwie był to dopiero początek, rzeczywistość miała być dla Spartakusa zawsze jedynie początkiem, gdyż jej koniec, a raczej brak końca, uciekał hen, w nienarodzoną jeszcze przyszłość... Lecz rzeczywistość związana była z tym, co działo się dokoła niego, co działo się z nim i jego towarzyszami, i z tym, co miało się stać zaraz, za chwilę. Patrzył na zwłoki Murzyna rozpięte na płocie. Skóra i ciało rozdarte włóczniami, krew zaschnięta i spieczona, wielka głowa wisząca między potężnymi ramionami.

Jakąż pogardę dla życia mają ci Rzymianie — pomyślał Spartakus. — Z jaką łatwością zabijają i z jaką rozkoszą. Ale tak musi chyba być — dodał w myślach — skoro całe ich życie zbudowane jest na kościach i krwi takich, jak ja, niewolników. Śmierć na krzyżu szczególnie im odpowiada. Rozpinanie ludzi na krzyżu przyszło z Kartaginy, gdzie uważano, że jest to jedyna śmierć godna niewolnika. Lecz wszędzie, gdzie sięgnęła ręka Rzymu, krzyżowanie stało się pasją.

Batiatus zjawił się w podwórze, a Spartakus, zaledwie poruszając wargami, spytał stojącego obok Gala: — A jak ty zamierzasz umrzeć?

— Tak samo jak ty, mój Traku.



— Był moim przyjacielem — powiedział Spartakus o Murzynie. — I kochał mnie.

— To twoja sprawa.

Batiatus stanął przed długim szeregiem gladiatorów, a żołnierze ustawili się za nim. — Żywie was! — krzyknął lanista. — Karmię was najlepszymi kaskami, mięsem, kurami, świeżą rybą. Karmię was, aż brzuchy wam nabrzmiewają. Kapię was, masuję was. Wyciągnąłem was z kopalń i z galer, żyjecie tu jak królowie, żrąc, pijąc i leniuchując. Wyciągnąłem was z dna, a teraz macie najlepsze żarcie!

— Czy jesteś moim przyjacielem? — szepnął Spartakus, a Gal odpowiedział, ledwie poruszając wargami: — Gladiator nie przyjaźni się z gladiatorem.

— Ja jestem twoim przyjacielem — powiedział Spartakus.

Batiatus mówił teraz: — W czarnym sercu tego czarnego psa nie było ani wdzięczności, ani uznania. Ilu jest takich, jak on, wśród was?

Gladiatorzy stali w milczeniu.

— Wybierzcie mi jednego czarnego! — krzyknął Batiatus, a dozorczy podeszli do grupy Afrykanów i wyciągnęli jednego na środek podwórza. Wszystko było z góry przygotowane. Odezwały się bębny, dwaj żołnierze wystąpili z szeregu i podnieśli wysoko ciężkie, drewniane włócznie. Bębny wciąż grały. Murzyn wyrwał się konwulsyjnie, a żołnierze po kolei wbili mu ostrza w pierś. Leżał na plecach na płasku, a drzewca sterczały mu z piersi pod dziwnym jakimś kątem. Batiatus zwrócił się do oficera stojącego opodal, i powiedział:

— Teraz będziemy mieli trochę spokoju. Te wściekle psy nie odważą się nawet warknąć.

— Jestem twoim przyjacielem — powiedział Gannikus do Spartakusa, a Gal nie rzekł nic, tylko oddech jego stał się chrapliwy i ciężki.

Poczem zaczęły się poranne ćwiczenia.

* * *

Znacznie później, przed Komisją Śledczą Senatu, Batiatus twierdził, i to w dobrej wierze, że nie miał najmniejszego pojęcia, iż w szkole przygotowuje się powstanie, i że wydało mu się rzeczą niemożliwą, by powstanie takie mogło mieć najmniejsze szanse powodzenia. Dla poparcia swojego twierdzenia dodał, że miał zawsze wśród gladiatorów dwóch donosicieli, którzy za obietnicę wyzwolenia informowali go o wszystkim, co się działo. Od czasu do czasu jeden z donosicieli był rzeczywiście wyzwalany i inny gladiator zajmował jego miejsce. Batiatus twierdził, że o spisku w szkole bez jego wiedzy mowy być nie mogło.

Lecz działo się zawsze tak, że ilekroć wybuchał bunt wśród niewolników, nie można było doszukać się spiskowców, nie można było dojść do jego korzeni, które na pewno, podobnie jak korzenie truskawek, były ze sobą połączone podziemnie i niewidocznie, i poznawałne tylko po kwitnącej na wierzchołku roślinie. Czy chodziło o powstanie na Sycylii, czy też o mały bunt na jakiejś plantacji, kończący się z reguły ukrzyżowaniem kilkuset uczestników, wszelkie próby wykrycia korzeni przestępstwa, z reguły zawodziły. A jednak korzenie trzeba wyrwać. Rzymianie stworzyli wspaniałe życie, pełne luksusu, wszelkiego zbytku i wygod, jakich świat nigdy przedtem nie znał. Wojny między narodami zakończyły się Rzymskim Pokojem, podział między narodami zakończył się zbudowaniem wspaniałych rzymskich dróg, a w Rzymie, najpiękniejszym mieście świata, żaden człowiek nie cierpiał z braku jada czy rozrywki. Tak było i tak być powinno, i taka była wola bogów, lecz wraz ze wspaniałym dobrobytem przyszła ta ohydna zaraza, której nie można się pozbyć.

Zapytał Senat Batiatusa: — Czy nie było żadnych oznak spisku, niezadowolenia, sarkania?

— Żadnych — upierał się.

— A gdy ukrzyżowaliście Afrykanina — oczywiście uważamy wasze postępowanie za całkowicie uzasadnione — czy nie było protestu?

— Nie.

— Interesuje nas szczególnie możliwość pomocy z zewnątrz, możliwość prowokacji zagranicznej. Czy uważacie to za możliwe?

— Zupewnie wykluczone.

— I uważacie, że triumwirat: Spartakus, Gannikus, Kriksus nie miał ani funduszków, ani pomocy z zewnątrz?

— Przysięgam na wszystkich bogów, że to zupełnie niemożliwe — powiedział Batiatus.

* * *

Lecz w rzeczywistości to, co mówił, nie było zupełnie prawdziwe, gdyż żaden człowiek nie jest sam w tym, co czyni. Niezwykła siła Spartakusa polegała właśnie na tym, że czuł się zawsze częścią całości i że nigdy nie zamykał się sam w sobie. Krótko przed nieudaną walką dwóch par, które wynajął sobie młody Rzymianin. Marius Brakus, wybuchło powstanie niewolników na trzech wielkich plantacjach sycylijskich. Udziął brało dziewięciu niewolników. Wszyscy, z wyjątkiem młodej garstki, zostali ukrzyżowani i dopiero pod sam koniec tej krwawej sceny właściciele plantacji zorientowali się, że ponieśli olbrzymi uszczerbek w majątku. Toteż ostatnia setka została wyrwana śmierci i sprzedana za niewielką sumę na galery, a na jednej z tych galer pewien agent Batiatusa zauważył wielkiego, barczystego, rudego Gala, imieniem Kriksus. Jako że galernicy uważani byli za niepoprawnych przestępców, cena była niezmiernie niska, a nawet łapówki związane z tą transakcją — bardzo niewielkie. Że zaś handlarze niewolników, którzy kontrolowali doki w Ostii, chcieli uniknąć przykrości, nic nie wspominali o pochodzeniu Kriksusa.

Toteż Spartakus nie był bynajmniej ani sam, ani odcięty od owych niewidzialnych nici, które tworzyły sieć buntu. Kriksus mieszkał w sąsiedniej celi. Ileż to wieczorów spędzili, wyciągnęci wzdłuż dzielącej ich ścian, głowami przy drzwiach. Kriksus opowiadał dzieje walki niewolników sycylijskich, które rozpoczęły się pięćdziesiąt lat temu. On, Spartakus, był niewolnikiem, zrodzonym z niewolników, ale oto dowiaduje się, że wśród takich, jak on, są bohaterowie równi Achillesowi, Hektorowi i Odysseuszowi, równie wspaniali i jeszcze od tamtych dumniejsi, mimo że nikt nie opisał ich w pieśniach, nikt nie traktował ich jak bogów i jak bogów nie sławił. I lepiej tak, albowiem bogowie byli niby bogaci Rzymianie i równie mało jak Rzymianie cenili życie niewolników. A tamci byli ludźmi, a nawet mniej niż ludźmi, bo niewolnikami, nagimi niewolnikami, których cena rynkowa była niższa od ceny osła, i których zaprzęgano do pługów, by orali pola latyfundiów. Lecz czyż nie byli olbrzymami! Eunus, który oswobodził wszystkich niewolników na wyspie i rozbił trzy rzymskie armie, zanim go pojмали, Grek Athenion, Trak Salviusz, Germanin Undart i ów przedziwny Żyd, Ben Joasz, który uciekł z całą załogą z galer i przyłączył się do Atheniona.

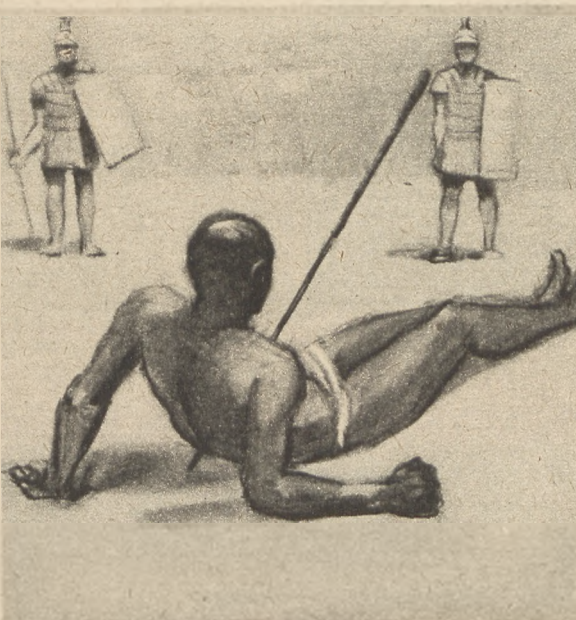
Spartakus słuchał tych dziejów i serce pęczyło mu dumą, radością i ogromnym uczuciem wspólnoty i braterstwa z poległymi bohaterami. Jego serce wyrwało się do tych nieznanych towarzyszy. Znał ich, rozumiał, wiedział, co czuli, o czym marzyli i czego pragnęli. Rasa, miasto, czy kraj — cóż to miało za znaczenie? Wiązała ich ta sama niewola. Ale mimo całej wspaniałości ich porywów, zawsze przegrywali. Zawsze Rzymianie przybijali ich do krzyża, nowe drzewo i nowy owoc, tak, by każdy mógł zobaczyć na własne oczy, co należy się niewolnikowi, który nie chce pozostać niewolnikiem.

— I kończyło się tak samo... — powiedział Kriksus.

I im dłużej był Kriksus gladiatorem, tym mniej mówił o przeszłości. Gladiatorowi nie pomoże ani przeszłość, ani przyszłość. Dla gladiatora istnieje tylko teraźniejszość. Kriksus otoczył się murem cynizmu i tylko Spartakus potrafił od czasu do czasu przebić skorupę goryczy dokoła duszy wielkiego Gala. I raz Kriksus powiedział do niego:

— Masz zbyt wielu przyjaciół, Spartakusie. Trudno jest zabijać przyjaciela. Daj mi więc pokój.

Tego poranka, po ćwiczeniach, zanim pognano ich na śniadanie, znaleźli się przez chwilę sami na podwórzu. Spoceni, zmęczeni gladiatorzy stali lub siedzieli na ziemi w małych grupkach. Mówili szeptem, jak gdyby przez szacunek dla zwłok dwóch przybytych do plotu Afrykanów. Pod świeżymi zwłokami zebrała się kałuża krwi,



a ptaki już się zleciały i piły słodką ciecz. Gladiatorzy byli ponurzy i zniechęceni. Czuli, że to dopiero początek. Wiedzieli, że Batiatus jest zły, że chce się ich teraz pozbyć w sposób szybki i intratny. Czuli, że nadchodzą złe czasy.

Żołnierze odeszli do pobliskiego gaju i pod drzewami po drugiej stronie strumyka zasiedli do porannego posiłku. Spartakus zza ogrodzenia widział ich, jak rozkładali się wygodnie na ziemi. Nie odrywał od nich oczu ani na chwilę.

— Co tam widzisz? — spytał Gannikus. Byli już od dawna razem. Byli niewolnikami w kopalni złota, a nawet pamiętali się jeszcze z dziecinnych lat.

— Nie wiem. Nic.

Kriksus patrzył spode łba, ponury, pełen wezbranej nienawiści.

— Co tam widzisz, Spartakusie? — spytał i on.

— Nie wiem.

— Ty wszystko wiesz i dlatego Trakowie nazywają cię ojcem.

— Kogo nienawidzisz, Kriksusie?

— Czy Afrykanin też nazywał cię ojcem, Spartakusie? Dlaczego nie chciałeś z nim walczyć? A kiedy nadejdzie nasza kolej, czy będziesz walczył ze mną, Spartakusie?

— Nie będę nigdy więcej walczył z żadnym gladiatorem — powiedział Spartakus cicho i spokojnie. — To wiem na pewno. Jeszcze przed chwilą nie byłem tego zupełnie pewny. Lecz teraz wiem na pewno.

Słowa te słyszało z pół tuzina gladiatorów. Zbliżyli się do Spartakusa. Nie patrzył już na żołnierzy, patrzył na gladiatorów. Wodził wzrokiem po ich twarzach. Gladiatorów przybywało coraz więcej. Było ich już dwunastu. Spartakus wciąż milczał. Lecz z minuty na minutę z twarzy ich znikał wyraz ponurej rezygnacji, a w oczach zjawiał się wyraz coraz silniejszego podniecenia. Patrzył im po kolei w oczy.

— Co robić, ojcz?

— Jak nadejdzie czas działania, będziemy wiedzieli co robić. A teraz rozejdźcie się.

I nagle stała się rzecz przedziwna i świadomość dziejów tysiąca długich lat spadała na trackiego niewolnika. Wszystko, co nie stało się w ciągu tych lat, miało się stać za chwilę i w ciągu następnych kilku godzin. Lecz uczucie to minęło, jak błyskawica. Była znowu teraźniejszość, a oni byli niewolnikami — najgorszymi z najgorszych, oprawcami niewolników. Ruszyli teraz w kierunku wrót do jadalni na śniadanie.

Po drodze minęli Batiatusa, rozwalonego w lektyce. Była to wielka lektyka, niesiona przez ośmiu niewolników. Obok Batiatusa siedział jego wytworny, szczupły, wykształcony rachmistrz. Widać udawali się po prowianty na rynek do Kapui. Gdy mijali szeregi gladiatorów, Batiatus spostrzegł z przyjemnością, że maszerują wyjątkowo sprawnie i rytmicznie. Pomyślał, że zamordowanie czarnego gladiatora było sprawą dość kosztowną, ale w końcu stanowczo jednak opłacalną.

Takimi drogami szły myśli Batiatusa, lecz kto wie, jakimi drogami szły myśli jego rachmistrza, który wkrótce już miał poderżnąć gardło swojemu panu?

* * *

Nie posiadamy dokładnego opisu wypadków, które wydarzyły się w jadalni. Żaden historyk nie spisał dziejów niewolniczych, gdyż losy ich nie były uważane za godne uwiecznienia. A kiedy dzieje ich siłą rzeczy stawały się częścią oficjalnej historii, kronikarzem był zawsze jakiś właściciel niewolników, który nimi gardził. Jednakże Warynia, zatrudniona w kuchni, widziała wszystko na własne oczy i później — jak sami zobaczycie — opowiedziała to innym. A jeśli nawet łoskot wielkich wydarzeń przycicha kiedyś — nigdy nie milknie całkiem.

Kuchnia była na jednym końcu jadalni, drzwi prowadzące na zewnątrz — na drugą. Sama jadalnia była improwizacją Batiatusa. Wiele budynków rzymskich posiadało architekturę tradycyjną. Ale ćwiczenie gladiatorów na wielką skalę było zjawiskiem zupełnie nowym, podobnie zresztą, jak moda wynajmowania sobie gladiatorów na prywatne widowiska. Sprawa pomieszczenia i masowego szkolenia zapasników była więc zagadnieniem zupełnie nowym. Batiatus znalazł na swoim terenie stary, kamienny mur i po prostu dobudował doń trzy ściany. Powstał więc prostokąt, który pokryto dachem w sposób tradycyjny, ustawiając na czterech ścianach deski nachylone do siebie pod łagodnym kątem. Środkowa część pozostawała otwarta, podłogę wyłożono kamieniami, a wodę deszczową odprowadzano drenami. Ten rodzaj architektury był dość popularny przed mniej więcej stu laty, lecz nawet teraz nadawał się doskonale dla łagodnego klimatu Kapui, chociaż w zimie bywało w jadalni chłodno i wilgotno. Gladiatorzy jedli siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Trenerzy przechadzali się pośrodku sali i rzucali wokół badawcze spojrzenia. Kuchnia znajdowała się na końcu jadalni, składała się po prostu z wielkiego kaflowego pieca i ogromnego drewnianego stołu. Z kuchni prowadziły na podwórze duże, drewniane, dwuskrzydłowe wrota, które podczas gladiatorskich posiłków starannie ryglowano.

Tak było i dzisiaj. Drzwi zaryglowano, gladiatorzy zajęli miejsca, a niewolnice zaczęły im usługiwać. Środkiem przechadzało się czterech trenerów. Byli uzbrojeni w noże i krótkie bicz z plecionej skóry. Drzwi zostały starannie zaryglowane przez dwóch żołnierzy, którzy specjalnie w tym celu zostali wydzieleni ze swojej drużyny. Reszta żołnierzy rozsiadła się wygodnie w cieniu niewielkiego gaju, w odległości około stu kroków od jadalni.

Wszystko to Spartakus widział. Jadł mało. Usta miał wyschnięte, a serce waliło mu w piersi, jak młotem. Myślał o przyszłości, lecz nie widział dla siebie chwały. W życiu wielu ludzi nadchodzi jednak chwila, w której mówią sobie: „Jeżeli teraz nie zrobię takiej a takiej rzeczy, to nie mam po co dłużej żyć“. A kiedy chwila taka nadchodzi, ziemia zaczyna drzeć w posadach.

O tak, zanim dzień ten dobiegł końca, ziemia miała istotnie lekko, leciutko zatrzęść się w posadach. Lecz Spartakus jeszcze o tym nie wiedział. Wiedział tylko co zamierza uczynić za chwilę. Chciał przemówić do gladiatorów. Właśnie zwrócił się do Gala Kriksusa, by mu to powiedzieć i wzrok jego spoczął na Warynii, która stojąc przy wielkim piecu kuchennym, przyglądała mu się z daleka. Gladiatorzy też nań spoglądali. Gdy szeptał do Kriksusa, Żyd Dawid odczytywał słowa z jego warg. Gannikus przysunął się bliżej. Przysunął się też Afrykanin, imieniem Fraksusa.

— Chcę przemówić do gladiatorów — powiedział Spartakus. — Chcę powiedzieć im szczerze, co myślę. Ale gdy zacznę mówić, nie będzie już dla nas odwrotu. A dozorczy spróbują mi przeszkodzić.

— Nie przeszkodzą ci — powiedział Kriksus, wielki rudy Gal.

Nawet po drugiej stronie jadalni gladiatorzy czuli, że dzieje się coś niezwykłego. Zaniepokojeni dozorczy stanęli przed grupą Spartakusa, trzasnęli biczami i wyciągnęli noże z pochew.

— Mówże! — krzyknął Gannikus.

— Czy jesteście psami, że trzaskacie na nas z biczów? — wrzasnął Afrykanin.

Spartakus powstał, a kilkudziesięciu gladiatorów podniosło się wraz z nim. Dozorczy zaczęli zgać nożami, lecz gladiatorzy rzucili się na nich i zabili w mgnieniu oka. Kobiety zabiły kucharza, a wszystko to działo się wśród wielkiej ciszy. Słychać było tylko szurgotanie nóg. I wtedy Spartakus wydał swój pierwszy rozkaz. Głosem spokojnym, łagodnym, powolnym. Zwrócił się do Gannikusa, Kriksusa, Dawida i Fraksusa:

— Idźcie do drzwi i plinujcie ich, tak, żebym mógł przemówić.

Dalszy ciąg w następnym numerze



Tak uśmiechał się Zatopek do Warszawy w słoneczny dzień wrześniowy i mówił: Budujecie swoją stolicę w imponującym tempie, jest coraz wspanialsza.

ROZMOWA Z DZIENNIKARZEM

GDYBY Emil Zatopek odniósł trzykrotne zwycięstwo na Olimpiadzie helleńskiej 2.400 lat temu, na podobnych dystansach co dzisiaj, starożytni zapewne obwołaliby go herosem, stawialiby mu pomniki za życia i opiewaliby w poezji.

I na pewno w owych czasach na powrót zwycięzcy czekaliby w jego domu rzeźbiarze, aby dłużej uwiecznić postać triumfatora, muzycy i poeci — by pieśnią i odą opiewać jego czyn.

Czasy się zmieniły.

W XX wieku na trzykrotnego triumfatora olimpijskiego w hallu hotelu czeka dziennikarz (jego słowa docierają przecież do milionów), chociaż Zatopek wart jest i poematu i dłuta.

*

Gdybym Emila Zatopka nie znał osobiście, nigdy bym nie przypuszczał, że mój rozmówca, blondyn, o chłopięcym uśmiechu i nieśmiałym spojrzeniu, to najlepszy długodystansowiec wszystkich czasów, człowiek, o którym mówi cały świat... Tyle w nim skromności.

— Wiem, że nie lubicie dziennikarzy...

— Szczerze mówiąc, nie bardzo — śmieje się Zatopek. — Zrazilem się do nich na dobre w Helsinkach. Bo pytali o rzeczy nie mające nic wspólnego ze sportem. Pytania te bardzo mnie dziwiły, a czasem nawet bawiły. Zachodnioeuropejscy dziennikarze chcieli na przykład wiedzieć co mi najbardziej smakuje, kiedy chodzę spać w niedzielę, dlaczego biegać na czele maratonu złapałem się w pewnej chwili za głowę; musiałem im pokazywać buty, w których biegałem. Znaleźli się i tacy, co pytali, czy Dana jest rzeczywiście moją żoną i czy przypadkiem w Czechosłowacji nie mam jeszcze jednej. Na szczęście nie wszyscy dziennikarze są tacy... — z uśmiechem łagodzi sprawę Zatopek.

„Dzrazi noty”

W Warszawie jestem wprawdzie po raz czwarty, ale czuję się, jakbym tu był po raz pierwszy. Tyle nowych wrażeń. Niestłuchanie szybkie tempo, w jakim buduje się Wasza Stolica, uprawiało w podziw całą naszą ekipę sportową już pierwszego dnia. Plac Konstytucji, nowe ulice i osiedla robotnicze, to dzieło ofiarnych rąk polskich robotników, którzy pragną zbudować nową, wspaniałą Warszawę. Mam to radosne przeświadczenie, że kiedy w przyszłym roku znowu przyjadę do Waszej Stolicy, będzie ona jeszcze piękniejsza.

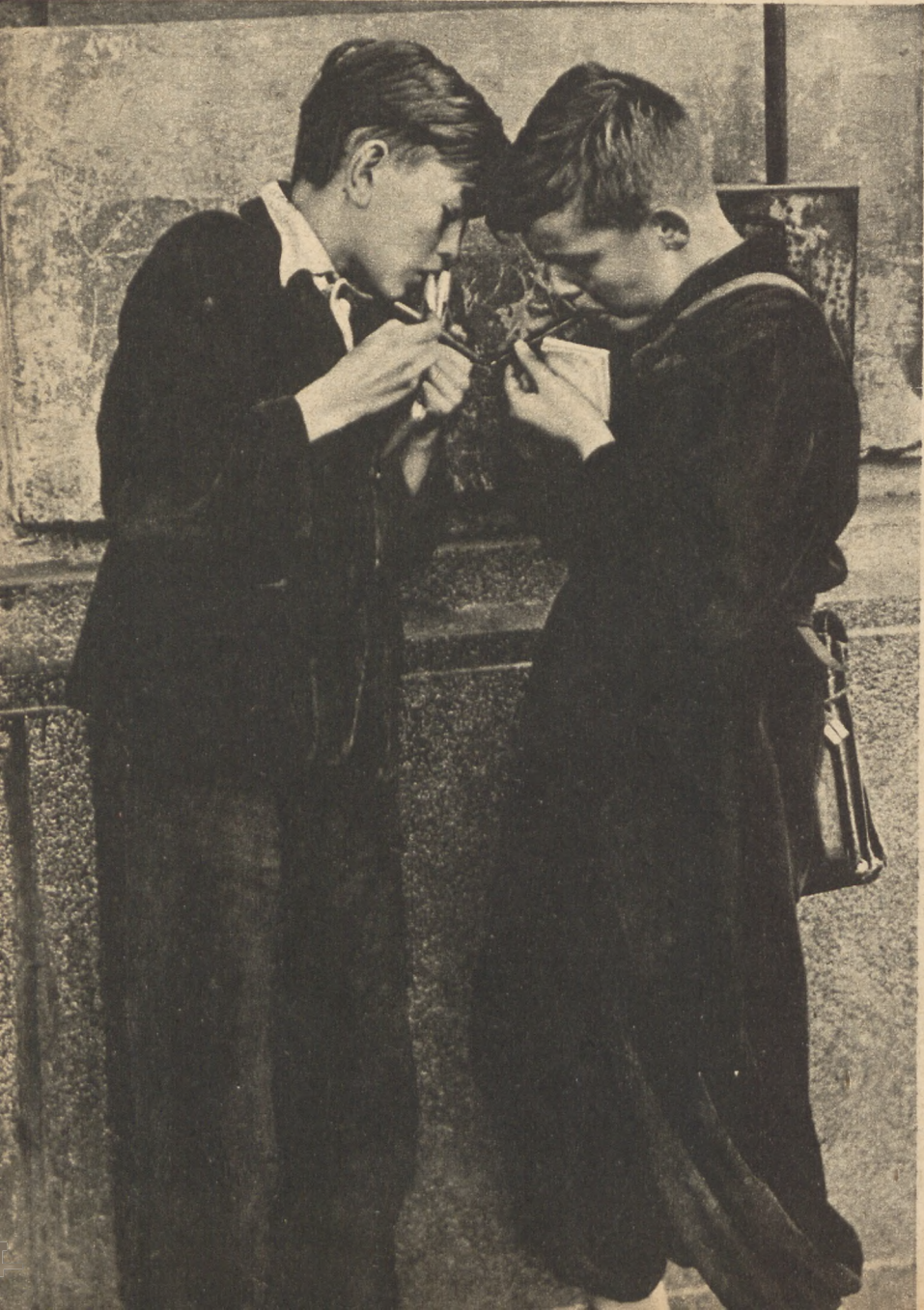
Jeżeli idzie o spotkanie lekkoatletyczne ATK — CWKS to uważam je za bardzo udane. Szkoda tylko, że padał deszcz: brzydka pogoda odbiła się ujemnie na frekwencji, a w pewnym stopniu również i na wynikach. Mimo to zarówno zawodnicy, jak i zwolennicy lekkoatletyki przeżyli w ciągu obu dni zawodów wiele emocji i radosnych chwil.

Zauważyłem, że Polacy biegają ze szczególną bojowością na dystansach uświęconych sławną polską tradycją, zapoczątkowaną niegdyś przez biegaczy tej miary, co Kusociński, Kucharski i Noji. W sumie spotkanie naszych drużyn wojskowych przyczyniło się do uzyskania dobrych wyników tak po naszej, jak i po Waszej stronie.

Głównym celem wychowania fizycznego w Czechosłowacji jest u-masowienie sportu. Naszym dążeniem jest, aby jak najwięcej młodzieży, począwszy od pierwszych lat szkolnych, uprawiało systematycz-

DZIEŃ EMILA ZATOPKA W WARSZAWIE

Scena przed hotelem, w którym zamieszkał trzykrotny mistrz olimpijski. Moment emocji. Zatopek wyjdzie lada chwila na miasto. Łowcy autografów „repetują broń”.



— A propos dziennikarzy zagranicznych. Wielu z nich lansuje pogląd, że jesteście fenomenem. Co o tym sądzicie?

— Fenomen? Bynajmniej! Sukcesy, które udało mi się osiągnąć — mówi — to rezultat wielu lat sumiennej pracy.

Istotnie. Jeżeli już mowa o Zatopku jako o fenomenie, to rzeczywiście jest on fenomenem pracy. I tylko to. Próby odczłowieczania go przez nadawanie mu przydomków w rodzaju „locomotive courante”, „superman”, „czeska lokomotywa” itp. obliczone są na tania sensację. Zatopek nie jest maszyną, lecz człowiekiem twórczym. Dokładne rozplanowanie każdego biegu z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy, szybki refleks i pomysłowa improwizacja, naukowe wprost gospodarowanie siłami, zwiększenie wydolności fizycznej, przekraczającej, zdawałoby się, granicę ludzkich możliwości — wszystko to dowodzi twórczej myśli najlepszego taktika wśród biegaczy świata.

— Jak wasze zdrowie?

— Nigdy nie czułem się lepiej — odpowiada z uśmiechem bohater Olimpiady helsinkijskiej. — Zresztą, jeśli to chcecie wiedzieć dokładnie, mogę ujawnić kilka szczegółów z dziennika mojego lekarza. Oto one:

Puls: 56.

Ciepłota: 37,0/37,2.

Pojemność płuc: 5 litrów.

Zdjęcie rentgenologiczne serca: nieznaczne powiększenie lewej i prawej komory.

Pręta: stan doskonały.

Elektrokardiogram wykonany natychmiast po biegu nie wykazuje w porównaniu ze spoczynkowym większej różnicy.

Dokonane natychmiast po biegu badanie kliniczne czynności systemu oddechowego i krążenia krwi wykazuje ich świetne funkcjonowanie.

— Jakie macie plany na przyszłość?



— Tu mieszkał nasz „Kusy” — mówi szwec z kamienicy przy ul. Złotej 65.



Za-to-pek, Za-to-pek — skandowała rozentuzjasmowana publiczność warszawska na sta-

...i wrócić..."

nie sport. Chcemy, aby cała młodzież czechosłowacka wyległa na boiska. Masowość w sporcie oznacza nowe talenty i rekordy.

Nasi czołowi reprezentanci pragną swoim przykładem i dobrymi wynikami obudzić w masach zainteresowanie dla sportu i spowodować, by jak najwięcej ludzi spotykało się na boiskach, bieżniach, pływalniach.

Nawiązując do XV Olimpiady w Helsinkach, uważam, że była to najwspanialsza ze wszystkich Olimpiad nowożytnych, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze — w Olimpiadzie helsińskiej praktycznie wzięli udział przedstawiciele wszystkich państw świata. Start radzieckich sportowców przyczynił się w pełni do podniesienia jej znaczenia i atrakcyjności. Radzieccy zawodnicy zrobili na nas wielkie wrażenie. Tym większe, że odnieśli olbrzymi sukces. Po drugie — Olimpiada helsińska, zgodnie z przyświecającą jej ideą — utwierdzenia przyjaźni i braterstwa między narodami świata, spełniła w tym względzie doskonale swoją rolę. Uczestnicy XV Olimpiady byli świadkami zbliżenia się sportowców z krajów obozu pokoju ze sportowcami innych państw świata. I to nie tylko na bieżni, lecz również na boiskach treningowych i w ogóle na każdym kroku. Właśnie w Helsinkach wielu sportowców zrozumiało, że tylko przez pogłębianie przyjaźni i wzmożenie ruchu pokojowego można będzie zapobiec wojnie i tym samym zapewnić nam wszystkim, w pierwszym zaś rzędzie młodej generacji, lepszą przyszłość.

EMIL ZATOPEK



Na skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich znakomity długodystansowiec siłą przyzwyczajenia „wyrywa się” do przodu. Stop... Czerwone światło. Przejścia nie ma. Nareszcie. Skracamy w lewo i kierujemy się na Plac Konstytucji.

FOT. „ŚWIAT” — K. JAROCHOWSKI
WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU
ZASTRZEŻONE

— Sumienny trening w okresie zimowym. W przyszłym roku będę chciał poprawić wyniki na 5 i 10 km.

— A maraton?

— Do maratonu wróć nieprędko. To dyscyplina, wymagająca pewnej specjalizacji. Na razie chcę zostać dalej na bieżni. Mój start w maratonie na Olimpiadzie był do pewnego stopnia „nadprogramowy”. Jeżeli idzie o plany na przyszły rok, to prawdopodobnie znowu odwiedzę Warszawę. Lubie to miasto. Buduje się swoją stolicę naprawdę w imponującym tempie. Warszawa jest coraz wspanialsza.

— O, tak. Wiele tu zrobiono od czasu ostatniego Waszego pobytu przed trzema laty. Chcecie obejrzeć Warszawę roku 1952?

— Z największą przyjemnością!

Ruszamy na miasto. Resztę opowiedzą zdjęcia.

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI



dionie Wojska Polskiego, dopingując zapamiętałe słynnego zawodnika olimpijskiego.

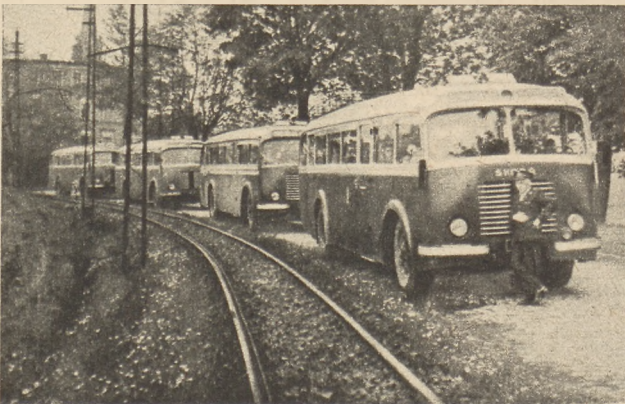
Na specjalnym jubileuszowym przedstawieniu w Cyrku nr 1 w Warszawie, Emil Zatopek podzielił się ze swymi najmłodszymi entuzjastami wrażeniami z Olimpiady w Helsinkach. Światowej sławy maratończyk wzbudził zrozumiały zachwyt dzieci.

DOŁOŻĄ STARAŃ

Przed gmachem Państwowej Opery Wrocławskiej zatrzymały się szeregiem duże, lśniące autobusy „Skoda”. Wysiadło z nich 200 osób — górników z 11 oddziału kopalni im. Thorez'a w Wałbrzychu i ich żony. Wycieczkę tę — w nagrodę za wysokie osiągnięcia produkcyjne tego oddziału — zorganizowała Dyrekcja Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego i Okręg. Zw. Zaw. Górników w Wałbrzychu.

Serdeczne powitanie górników w Operze, piękna muzyka Moniuszki (dawano właśnie „Flisę” i „Na kwatunku”), doskonała gra i śpiew zespołu, balet, śliczne dekoracje i kostiumy — wszystko to wywarło na nich wielkie i niezapomniane wrażenie, zwłaszcza że niektórzy widzieli operę po raz pierwszy w życiu.

W powrotnej drodze prowadzono ożywione dyskusje, wyrażano wrażenia, uwagi. Przewodzący górnik, Kieliszewski, stwierdził, że dbałość władz o rozwój życia kulturalnego robotników stała się bodźcem do jeszcze bardziej wyteżonej pracy, i oświadczył: „Dołożę wszelkich starań, aby



zobowiązania, podjęte przez naszą brygadę i oddział dla poparcia wyborów, uczczenia XIX Zjazdu WKP(b) i Rocznicy Rewolucji Październikowej, zostały w pełni wykonane”.

11 oddział kopalni Thorez'a od dawna już należy do produjących oddziałów produkcyjnych w kopalniach Zagłębia Wałbrzyskiego. Na dowód wystarczy podać kilka ostatnich wyników: w maju osiągnął on — 113,4%, w czerwcu — 114,5%, w lipcu — 116%, w sierpniu — 117,5% planu mie-

siecznego. Te wspaniałe osiągnięcia są wynikiem wzorowej, kolektywnej pracy załogi 11 oddziału, a przede wszystkim brygady ścianowej im. gen. Świerczewskiego, liczącej 80 górników. Brygada ta należy do największych tego rodzaju w przemyśle węglowym.

Można się więc spodziewać, że koledzy górnik Kieliszewski dotrzymają słowa i wypełnią nie tylko swe zobowiązania, ale jeszcze przekroczą je — i to znacznie.

Adam Kopczyński, Wałbrzych

Jesteśmy w artystycznie i wygodnie urządzonej sali Wojewódzkiego Klubu TPRP w Poznaniu.

Uruchomiony on został niedawno i poza zacieśnianiem przyjaźni między obu narodami pełnić będzie jeszcze drugą rolę — poważnego ośrodka kulturalnego Poznania.

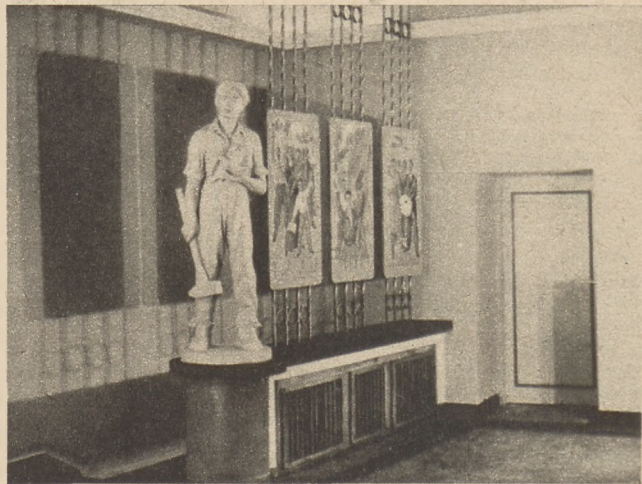
Kierownictwo Klubu wraz z Sekcją Odczytów i Imprezową Wojewódzkiego Zarządu TPRP opracowało starannie plan imprez, z których ich uczestnicy odnoszą duże korzyści. Mieszkańcy Poznania mieli już możliwość wysłuchania w Klubie odczytów o życiu i twórczości Maksyma Gorkiego i działacza Stenki Riazina; zorganizowano tu również szereg wieczorów dyskusyjnych oraz montaż literacki „W setną rocznicę śmierci Mikołaja Gogola”.

Wnętrze lokalu składa się z sali klubowej, czytelni oraz sali odczytowej, w której wyświetla się także filmy. Artystyczna kompozycja wnętrza jest dziełem młodego, zdolnego artysty-plastyka, Ryszarda Kulma, który poza projektem całości wykonał jeszcze rzeźbę robotnika walczącego o pokój oraz szereg płaskorzeźb i portretów tak na froncie lokalu jak i w jego wnętrzu.

Dużą ozdobą lokalu jest obraz ścienny, przedstawiający wkroczenie Armii Czerwonej do Poznania, wykonany przez artystę malarza Józefa Ożmína. Plansze graficzne F. Kleimńskiego mobilizują do walki o pokój i Plan 6-letni.

Irena Podolak-Ciesielska,

Poznań



Wnętrze sali klubowej z rzeźbą robotnika

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

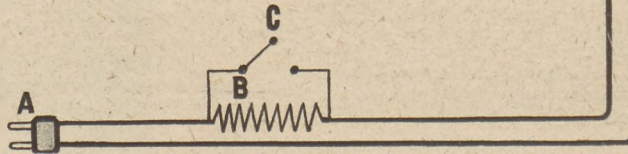
ODPOWIADAMY NA LISTY CZYTELNIKÓW

Ob. Jan Z-ski, Poznań: Dziękujemy za miły list. Przepis, jak rozpuszczać „Atomal”, podajemy, na inne pytania stopniowo odpowiemy, gdyż poruszone w nich zagadnienia były już uwzględnione w planie najbliższych tematów.

„Atomal”, znajdujący się powszechnie w sprzedaży wywoływacz drobnoziarnisty, produkowany przez firmę „Agfa” specjalnie do negatywów małoobrazkowych, zawiera hydrochinon, pyrokatechinę i oksyetylo-ortoaminofenol. Całość rozpuszcza się w 600 cm sześć. wody, oddzielnie zawartość części „A”, oddzielnie części „B”, które następnie zlewamy razem przy energicznym mieszaniu. Czas wywoływania filmu „Isopan F” i jego podobnych, o czułości ok. 17/10 DIN, wynosi przy temperaturze 18 st. — 8—10 minut. Przy temperaturze 15 st. czas wywoływania należy przedłużyć do 10—12 min., przy temp. 21 st. — skrócić do 6—8 min.

Wywoływacz ten może być używany wielokrotnie, jeśli przechowujemy go w szczelnie zamkniętej butelce. W 600 cm sześć. „Atomalu” można wywołać 6 filmów, przedłużając przy każdym czasie wywoływania o 1 minutę.

- A — wtyczka sznura od lampy
- B — opór lub grzałka
- C — wyłącznik
- D — żarówka „Tungsgraphot”



Ob. F. Hr., Gliwice: żarówki „Tungsgraphot” (220 Volt, 500 Watt, 11.000 Lumenów) są do nabycia w sklepach. Są to specjalne żarówki fotograficzne, tzw. przewoltowane, tzn. przystosowane do prądu o nieco niższym napięciu niż prąd z sieci. Na przykład normalnym napięciem dla nich byłoby 120 Volt, podczas gdy prąd dostarczany przez elektrownię ma napięcie 220 V. Wskutek wyższego napięcia włókno żarzy się niezwykle jasno, lecz żywotność żarówki jest ograniczona do 100 godzin. Po upływie tego czasu może ona palić się nadal, lecz światło jej będzie słabsze, żywotność żarówki możemy znacznie przedłużyć przez włączenie w jej obwód oporu na kilkadziesiąt Ohmów, lub zwykłej grzałki, jak to wskazuje rysunek. Pełne żarzenie włókna, przez włączenie bezpośrednio, stosujemy tylko na krótki moment samego naświetlania. Czas naświetlania przy użyciu lampy „Tungsgraphot” 500 Watt, filmu Isopan F o czułości 17/10 DIN, wynosi dla przysłony 1:4 i odległość lampy 1,5 m — 1/18 sek. Przy fotografowaniu ciemnego przedmiotu czas naświetlania należy podwoić, przy jasnym — skrócić o połowę.

Ob. Stanisław H., Bronisław W., Kraków: „Film Polski” oprócz słownego opisu oznacza papiery fotograficzne własnej produkcji stałymi skrótami literowymi i cyfrowymi. Litera B oznacza papier bromowy do powiększeń, C — chlorowy do styków. Następujące po literach cyfry z oznaczeniem stopnia określają gradację emulsji papieru: 26° — b. twarda, 34° — twarda, 42° — normalna, 50° — specjalna, 58° — miękka, 66° — b. miękka.

Trzy dalsze kolejne cyfry w grupie oznaczają: pierwsza — barwę podłoża, druga stopień matu lub połysku, trzecia rodzaj powierzchni papieru. Dla barwy podłoża papieru 1 — oznacza kolor biało-niebieski, 2 — biały, 3 — białoróżowy, 4 — jasno-kremowy, 5 — kremowy (chamois). Dla stopnia matu lub połysku 1 oznacza papier błyszczący, 2 — półmatowy, 3 — matowy. Dla rodzaju powierzchni 1 — oznacza papier gładki, 2 — drobno-ziarnisty, 3 — ziarnisty, 4 — gruboziarnisty, 5 — rastrozarnisty. Ostatnia litera grupy oznacza grubość papieru: C — cienki, P — półkarton, K — karton.

Tak więc np. symbol „B 42° — 111 K” oznacza: papier bromowy normalny, biały, błyszczący, gładki, karton. „C 50 — 225 K” oznacza papier chlorowy o gradacji specjalnej, biały, półmatowy, jedwabisty, karton.

Kolorowe paski na bokach etykiet ułatwiają szybkie zorientowanie się co do stopnia kontrastowości, paski zielone oznaczają gradację b. twarda, niebieskie — twarda, czerwone — normalną, pomarańczowe — specjalną, żółte — miękka.

NA SZLAKU WĘGORZY



Oto cztery żaki przygotowane do odłowu węgorza.

We wrześniu i październiku nad wodami Zalewu Szczecińskiego prawie stale dmie ostry wiatr, czasami przechodzą sztormy. Przelewając się przez siebie, grzebienie fal grożą każdemu śmiałkowi, który podjąłby z nimi walkę. Lecz w głębi, nawet wśród najbardziej burzliwych nocy, trwa w tym czasie wielki ruch. Węgorze rozpoczynają właśnie swoją długą i niebezpieczną wędrówkę ku wielkim obszarom morskich, zwanych sargassami. Obok wysp Bermudzkich tworzą one rozległe skupisko, uniemożliwiające jakąkolwiek żeglugę. I tu właśnie, w tym najbardziej stosunkowo bezpiecznym

miejsku, odbywa się coroczne tarło.

Węgorze należą do najsmaczniejszych ryb, toteż z okresu ich wędrówki korzystają rybacy stawiając gęsto żaki w Zalewie Szczecińskim i na jeziorze Dąbskim. (Żaki to sieci o specjalnie drobnych oczkach, rozpięte na drewnianych obręczach). Codziennie rankiem wybiera się z nich tysiące węgorzy, które wędzi się następnie w spółdzielczych placówkach handlu rybami.

Nie cała jednak droga węgorzy jest zastawiona tymi sieciami, wiele z nich szczęśliwie wydostanie się na Bałtyk, a następnie na Ocean

Atlantycki, niezmordowanie wędrując w raz obranym kierunku. Obok wysp Bermudzkich pozostawia potomstwo jako drobne, wolno rosnące larwy. Po roku, choć nie przekroczą długości 25 milimetrów, wyruszają do brzegów Europy wykorzystując ciepły Golfstrom. Gdy po trzech latach larwy zamieniają się w przezroczyste węgorzyki (zwane elwersami) jeszcze nie osiągną 10 centymetrów „wzrostu”, lecz mimo to stają się tak samo wytrawnymi podróżnikami, jak

ich rodzice, tyle, że udają się w przeciwnym niż oni kierunku. Wytrwale dążą do rzek, a po ich osiągnięciu przewyściełają wszelkie przeszkody posuwają się w górę ku źródłom.

Pobyt w wodach słodkich trwa do 20 lat, poczem dojrzałe już węgorze znów rozpoczynają swą wędrówkę ku Bermudom. Temu zawdzięczamy, że jesienią na naszych stołach węgorz zjawia się częściej niż w innych porach roku.

Murian Bakota, Szczecin

Trud ich został nagrodzony. Sądzi pełen jest ryb.



Zespół ob. Kołodzińskiego z Dąbia Szczecińskiego, nie bojąc się fali, wyciąga z jeziora zastawione w nim żaki.



„PROSZĘ SIĘ NIE ZATRZYMYWAĆ – MY KRĘCIMY...”

Tekst: JERZY KADEN – Zdjęcia: Fr. KADZIOLKA

LÓDŹ ma swoje atelier filmowe — Warszawa ma MDM. — Dobrze — powiedzą Czytelnicy — ale jaki to ma ze sobą związek? — Otóż zapewniam, że duży. Bo zarówno tam, w atelier łódzkim, jak i tu, na MDM-ie, kręci się filmy. Niech tylko słońce ukaze się zza chmur, a już z rozmaitych ulic zajeżdżają na MDM samochody filmowe, wysypują się z nich dziesiątki ludzi, ustawia się aparaturę i... zaczyna się.

I tak pewnego dnia na Placu Konstytucji spotkały się ni mniej, ni więcej — cztery ekipy. Pierwszą z nich to grupa filmu „Jeden dzień w Warszawie”, druga — to film barwny „Przygoda na Mariensztacie”, a pozostałe: zespół filmowy z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi i Polska Kronika Filmowa. Ale co to? — w tej chwili zajeżdża, malowany na kolor stalowo-srebrny, samochód... telewizyjny. Czyżby i telewizja?

Nie, to pomyłka. Wóz telewizyjny to tylko rekwizyt na kołach w filmie „Jeden dzień w Warszawie”. Bo przecież ogromna część akcji filmowej komedii satyrycznej „Jeden dzień w Warszawie” rozgrywa się na terenie... Chwileczkę, trochę cierpliwości! — dowiemy się wszystkiego, ale po kolei, nie wszystko od razu.

— Proszę przechodzić!
— Państwo będą łaskawi odsunąć się!
— Proszę się nie zatrzymywać! Nie, no tak nie można, przecież trzeba zostawić trochę miejsca dla operatora i aktorów...

Asystent reżysera to nie jest wcale taki miły i łatwy zawód, jakby się mogło wydawać. Szczególnie gdy w grę wchodzi zdjęcia na ulicy czy w tak ruchliwym punkcie, jakim jest dzisiaj Plac Konstytucji na MDM-ie. Realizacja filmu jest niewątpliwie rzeczą nader atrakcyjną, nie należy się więc dziwić, że zdjęcia wzbudzają tak wielkie zainteresowanie wśród przypadkowej publiczności. Jak zwykle bywa w takich momentach i tutaj pojawiają się szybko dowieciska. Młoda dziewczyna przechodzi chodnikiem na odcinku wydzielonym dla zdjęć. Wesoły wykwintniś wykorzystuje ten moment, aby „błysnąć” humorem: — Halo, panienko! bo pania sfilmuje.

I proszę sobie wyobrazić, w następnej chwili przepowiednia dowiecplisza staje się faktem dokonany. Z tą małą poprawką, że przechodząca ulicą dziewczyna gra w filmie „Jeden dzień w Warszawie”... główną rolę kobiecą. Nazywa się Gizela Piotrowska, jest aktorką teatru w Toruniu, w filmie gra rolę przewodniczącej pracy fabryki obuwia.

*

W celu maksymalnego wykorzystania warunków zdjęciowych — jest piękny słoneczny dzień — ekipa podzieliła się na dwie grupy. A więc przenosimy się na nowe miejsce. Jesteśmy na skrzyżowaniu ulic: Nowego świata i Wareckiej. Uwaga! Nadjeżdża autobus.

Na chodniku przykrytym do statywu stoi aparat filmowy niedbale przykryty ceratą. Obok, znudzony na pozór, młody człowiek, kilka kroków dalej — drugi. Uwaga! Kierowca zwalnia autobus z hamulców, ujmując za kierownicę. Drugi mężczyzna daje dyskretny znak ręką, człowiek przy kamerze szybkim ruchem zdziera z niej nakrycie i kieruje obiektyw na nadjeżdżający

autobus, do którego dobiega i wskakuje w biegu młody człowiek, dotychczas ukryty w bramie.

Udało się! — Ale już za chwilę wyskakuje z autobusu i wraca na przystanek. W młodym człowieku poznajemy Bohdana Niewinowskiego, aktora z teatru „Współczesnego” w Warszawie, który w naszym filmie gra rolę Stefana Wiśniewskiego, redaktora terenowego stacji telewizyjnej w Warszawie. Oddajmy głos „redaktorowi”!

— Otóż wyobraźcie sobie — mówi Niewinowski — że w ciągu tych kilku chwil dwukrotnie wszedłem w konflikt z prawem. Gdy wskoczyłem do autobusu konduktorka zwraca się do mnie: „Obywatelu, co to, na stopniu chcecie jechać, a w dodatku bez biletu”. — Szybko wyskoczyłem i wpadam prosto w ramiona... milicjanta, który mówi: „U nas obywatelu z autobusu w biegu skakać nie wolno!”.

Przerwywamy, że nie o tego rodzaju informacje nam chodzi. Lepiej niech powie jak się czuje w swojej roli.

— Świetnie — odpowiada Niewinowski. — Stefan Wiśniewski, którego gram, jest człowiekiem roztargnionym i ruchliwym, takim właśnie jak ja. Z tą różnicą, że on pracuje w telewizji, a ja w teatrze.

*

Film „Jeden dzień w Warszawie” jest komedią satyryczną, pierwszym filmem reprezentującym tę interesującą formę filmową. Akcja jego związana jest z telewizją — zarówno przez postacie bohaterów, scenę studia telewizyjnego, jak i poszczególne wątki dramatyczne. W akcji poważną rolę gra również... pianino. Bo Zosia (przodownica) jest członkiem zespołu świetlicowego, który przygotowuje się do udziału w eliminacjach artystycznych zespołów. Pianino, którym dysponuje zespół, nie nadaje się do użytku, a z Warszawy nie nadchodzi nowe. Zosia jedzie więc do Warszawy. Jak wiąże się wątek pianina z wątkiem telewizji i Stefana, nie będziemy teraz mówić, bo wszyscy wiedzieliby wszystko i nikt nie chciałby oglądać filmu...

Po drodze Zosia napotyka na szereg „zawalidrogów”, ludzi, którzy utrudniają życie bliźnim. Postacie te szczególnie ostro zarysowały się w scenariuszu filmu pióra satyryków: Zdzisława Gozdawy, Wacława Stępnia i Stefania Grodzieńskiego. Wszystkie osiem ról „zawalidrogów” gra Adolf Dymśa.

*

Poza tym grają w filmie: Jan Kurnakowicz (mikserski, Kozłowski), Lech Ordon (kierownik świetlicy, Pałaszewski), Andrzej Bogucki (narrator), Adam Kwiatkowski (operator telewizyjny), Julian Łuszczewski (kierownik sklepu muzycznego).

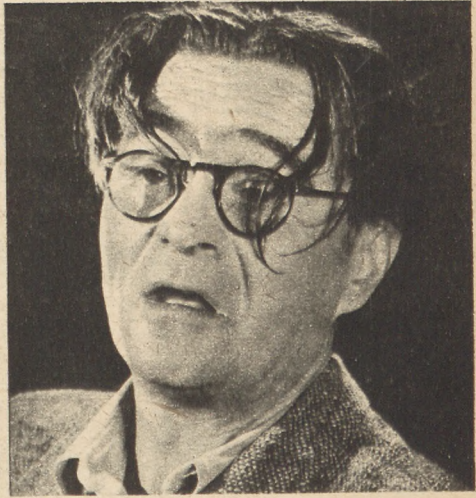
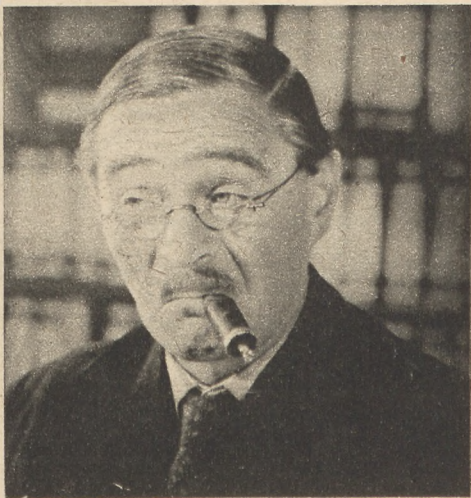
Jedną z atrakcji filmu stanowią będą sceny z popularnymi artystkami, Hanką Bielicką i Ireną Kwiatkowską, w rolach, które w scenariuszu zostały określone wiele mówiącym mianem: „ciuchary i panikary”. Ponadto ujrzymy w filmie około 80 postaci epizodycznych. Reżyserują film: Jan Rybkowski i Jan Fehtke, funkcje II reżysera pełni Kazimierz Sheybal. Operatorami są: Adolf Forbert, Tadeusz Korecki i Bogusław Lambach. Dźwięk nagrywa Jan Koprowicz, kierownictwo produkcji filmu — Zygmunt Szynlder. Okres realizacji filmu przewidziany jest do końca bieżącego roku.



Główne role w filmie „Jeden dzień w Warszawie” odtwarzają Gizela Piotrowska i Bohdan Niewinowski.



„Ciuchara” (Kwiatkowska) i „panikara” (Bielicka) — oto dwie z wielu satyrycznych postaci tego filmu.



Spekulant, biurokrata, bokser-primadonna, gaduła... osiem ról „zawalidrogów” gra Adolf Dymśa. Zosia, główna bohaterka filmu, na swoje nieszczęście spotyka ich kolejno podczas pobytu w Warszawie. Teksty ośmieszające tych, którzy utrudniają życie bliźnim, napisali: Zdzisław Gozdawa, Wacław Stępień i Stefania Grodzieńska.



Rolę innego „zawalidrogi” odtwarza Biernacki...

Akcja filmu toczy się częściowo w fabryce obuwia.

Załoga zrobiła sobie wspólne zdjęcie z ekipą filmowców.

ZACZYNAŁO SIĘ W WANNIE ²⁾

JERZY WALDORFF

ILEKROĆ mam pisać o naszym Radiu — rozrzewnam się. Co za wspomnienia!... Tuż po wojnie pracowałem tam. Polskie Radio mieściło się wtedy w jakimś prywatnym mieszkaniu przy Targowej, na Pradze. W pokoju, który był kiedyś pewnie jadalnią, urządzone jedyne studio rozgłośni. Zagospodarowane było jak najoszczędniej.

Na małym stoliku pod ścianą stał mikrofon i to miejsce nazywało się „kabiną speakerów”. Zmieniało wszakże nazwę i funkcję, bo o pewnych godzinach dnia umieszczano się na stoliku paterfon i kładło kilka płyt. Wówczas miejsce zwało się „Działem muzyki mechanicznej”.

Pod piecem mieścił się „Dział efektów dźwiękowych”, czyli wyszperany skądś kawał cynkowej blachy. Manewrując nią umiejętnie naśladowaliśmy różne odgłosy: od huku armat do pojedynczych strzałów karabinowych i od ryku burzy do czułego szemrania strumyka. Podczas nadawania słuchowisk „na tle wsi” — ja występowałem w charakterze szczekającego psa, a później — redaktor „Problemów” — T. Unkiewicz, wybornie ryczał, jako krowa.

Miejsce pod fortepianem pełniło rolę sypialni Wł. Szpilmana, kierownika „Działu muzyki lekkiej”. Co rano o szóstej budziły śpiącego różne marsze i polki, a także noga pianisty, który — zamiast pedału — przydeptywał przez pomysłkę głowę Szpilmana. Tak się zaczynał dzień od gimnastyki porannej.

Obok studia, w łazience, mieszkał dyrektor muzyczny Radia — R. Jasiński. Sypiał w wannie. Ale przed ósmą wanna musiała być opróżniona, gdyż wchodziły do niej dwie nowe osoby i „sypialnia” dyrektora zamieniała się na „Biuro Kontroli audycji”.

Pewnego wieczora ustawiliśmy na fortepianie kwiaty i byliśmy wzruszeni: do studia przybyła para wielkich przyjaciół Polaki — Irena i Fryderyk Joliot. Nie zrazili się ani ówczesną nieszczęsną Warszawą, ani nieszczęsnym Radiem. Pozostali naszymi przyjaciółmi do dzisiaj, a my nie zawiedliśmy ich zaufania.

Dziś Polskie Radio mieści się w obszernym gmachu przy ul. Myśliwieckiej, wzniesionym przez warszawskich robotników. Dyr. Jasiński urzęduje w gabinecie, skąd kieruje ogromnym Działem muzycznym, składającym się z wielu studio, biblioteki, płytoteki o wielu tysiącach płyt i taśmoteki o wielu tysiącach zwojów taśmy magnetofonowej.

KONIEC PŁYT

Co projektuje Dział Muzyczny Polskiego Radia na ten sezon? — Dyr. Jasiński był niedawno w Moskwie, gdzie studiował organizację tamtejszej radiofonii. Tam panuje już wszechwładnie telewizja! — Jadąc ulicami Moskwy, widzi się na każdym niemal domu po kilka anten telewizyjnych, o charakterystycznym kształcie litery „T”. Ale i dla naszego etapu rozwoju radia znalazł Jasiński dużo cennych wzorów.

A więc wzorem radzieckiego „Domu zapisów dźwiękowych” nagrana będzie na taśmy cała muzyka polska, od najstarszych zabytków, po Szymanowskiego i dzisiejszych kompozytorów. Powstanie tym sposobem wielkie muzeum dźwiękowe, ale złożone nie z martwych eksponatów, lecz z taśm gotowych ożywić każdej chwili każde z polskich dzieł muzycznych. Sporo zostało już nagranych, praca trwa dalej.

Ubożnym celem tej wielkiej akcji kulturalnej jest całkowite wyeliminowanie z Radia płyt gramofonowych, jako przestarzałego i niedoskonałego środka odtwarzania muzyki drogą mechaniczną. Dużą pomoc, także i na tym odcinku, niosą nam kraje zaprzyjaźnione. Drogą darów i wymiany na taśmy z polską muzyką otrzymujemy nagrania arcydzieł muzyki rosyjskiej, czeskiej, węgierskiej i niemieckiej (z NRD).

W tym sezonie Polskie Radio nadawać będzie opery 2 razy w tygodniu. Usłyszymy m. in. wspaniałe moskiewskie nagrania „Księcia Igora” Borodina, „Wolnego Strzelca” Webera w nagraniu Opery Wiedeńskiej, „Bunt Żaków” Szelińskiego w nagraniu Opery Poznańskiej, „Flet czarodziejski” Mozarta, a także „Zemstę nietoperza” J. Straussa, pod dyktando znakomitego kapelmistrza Kl. Krausa i klasyczną już operetkę radziecką „Keto i Kote” Dolidzego, powstałą w latach 1920-ych. Z okazji przypadającej w przyszłym roku 140 rocznicy urodzin i 70 rocznicy śmierci Ryszarda



Przy grze na organach niemałą wagę ma umiejętność operowania pedałami. Prof. F. Rączkowski (nogi po lewej) udziela lekcji jednemu z uczniów (nogi po prawej).

Wagnera, Polskie Radio przypomni nam również dzieła operowe tego kompozytora. Ogółem w tym sezonie usłyszymy przez głośniki około 50 różnych oper.

Polskie Radio dalej będzie kładło silny nacisk na cykle audycji upowszechniających wiedzę o muzyce. Cykl „Historia muzyki polskiej” opracują czołowi muzykolodzy: Chomiński, Chybiński, Jachimecki, Łobaczewska. Audycje poświęcone muzyce radzieckiej prowadzić będzie dr Zofia Lissa. Prócz tego będzie kilka cykli mniejszych rozmiarów, ale nie znaczeniem: „Najpiękniejsze utwory kameralne”, „Symfonie Beethovena”, „Symfonie Czajkowskiego” itp. Powtórzony zostanie (począwszy od października br.) cykl 13 audycji pt. „Instrumenty muzyczne”, prowadzony przez niezłą podpiśniętą.

Słabo natomiast przedstawia się w Radiu sprawa muzyki popularnej. Powód tego zjawiska widzi dyr. Jasiński w braku aparatu wykonawczego. Kompozytor o tyle chętnie komponuje, o ile wie, że będzie wykonywany. Zdaniem dyr. Jasińskiego każda z naszych orkiestr symfonicznych winna grać przez jeden letni miesiąc w jakimś uzdrowisku. Pozwoliło by to na szeroką propagandę muzyki w ogóle, gdyż podczas urlopu każdy chętnie słucha koncertów na otwartym powietrzu. Równocześnie zaś orkiestry mogłyby — obok repertuaru poważnego — wykonywać także utwory z nowego polskiego repertuaru rozrywkowego.

To słuszne, ale nie usprawiedliwia to faktu, że obecnie słyszymy po 15 razy na tydzień (2—3 razy dziennie) „Tańce słowiańskie” Dworzaka i że orkiestra taneczna Polskiego Radia gra z wdziękiem, lekkością i werwą, właściwszą

dla orkiestry tanecznej Zakładu dla Reumatyków.

Oczywiście także i Polskie Radio... — ale to już sprawa następna.

COŚ DLA POZNANIA

Oczywiście nie tylko Polskie Radio, ale i całe społeczeństwo interesować się będzie jak najżywiej Konkursem Skrzypcowym im. H. Wieniawskiego, który odbędzie się między 5 a 15 grudnia b.r.

Kim był Henryk Wieniawski? — Urodzony w 1835 r. w Lublinie, a zmarły w 1880 r. w Moskwie — był jednym z najslawniejszych skrzypków ubiegłego wieku i jednym z najwybitniejszych kompozytorów skrzypcowych. Jego Koncert skrzypcowy d-moll jest do dziś w repertuarze każdego wybitniejszego skrzypka-wirtuoza.

Konkurs im. Wieniawskiego został zorganizowany na wzór Konkursów Chopinowskich. W tym samym Łagowie, gdzie pracowali pianiści, przygotowywała się latem do rozgrywek konkursowych ekipa najzdolniejszych młodych polskich skrzypków. Ogółem będzie ich dziewięć, z W. Wiłkomirską, E. Statkiewiczem, H. Palulsem i I. Iwanowem na czele. Polska ekipa współzawodniczyć będzie z wieloma ekipami zagranicznymi.

Konkurs odbędzie się nie w Warszawie, lecz w Poznaniu. Bardzo słusznie! W dzisiejszej dobie podnoszenia kultury muzycznej całego kraju, każde miasto winno mieć specjalne zadania muzyczne powierzone do zrealizowania; to pobudza ambicję i podciąga.

Ciekawym i płodnym w cenne skutki Konkursem zajmujemy się bliżej we właściwym czasie.

PRACA NARYBKU

Podczas gdy jedni muzycy będą koncertować w tym sezonie, inni, młodzi, będą przygotowywać się w szkołach do jak najlepszego wykonywania swego zawodu w przyszłości.

Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie (odpowiednik uniwersytetu w dziedzinie muzyki) liczy około 200 uczniów, w tym ok. 20 pochodzenia chłopskiego, ok. 60 pochodzenia robotniczego i ok. 120 pochodzenia inteligentnego. Proporcja jeszcze niezadowalająca, ale zrozumiała. Dojście np. do klas instrumentalnych PWSM trzeba poprzedzić nieraz 12 latami pracy w



Juliusz Pietrachowicz, który jest już pierwszym puzonistą Filharmonii Warszawskiej, ale jeszcze uczniem PWSM — ćwiczy na swoim pięknym instrumencie.

szkołach muzycznych I i II stopnia. Więc młodzież robotnicza i chłopska jest tymczasem dopiero w drodze. — Aliści już dziś PWSM może pochwalić się m. in. Stefanem Foremym, chłopem z Mazurów, który jest już na II roku kompozycji i obok talentu kompozytorskiego przejawia także duży talent pianistyczny.

Wśród pedagogów warszawskiej PWSM widnieją nazwiska najchlubniej znane w kraju. Rektorem jest St. Szpinalski, prorektorami — F. Kulczycki i St. Śledziński. W klasie fortepianu uczy: M. Jacynowa, J. Lefeld, St. Szpinalski, H. Sztompka, J. Śmidowicz, M. Trombini - Kazurowa, J. Żurawlew. W klasie skrzypiec: I. Dubiska, J. Jastrzębski, T. Wroński. W klasie śpiewu: W. Bregy, A. Dobosz, A. Sari. W klasie kompozycji: J. Maklakiewicz, K. Sikorski, T. Szeliński. W klasie dyrygentury: F. Kulczycki i W. Rowicki.

PWSM mieści się w jednym z ładniejszych pałaców Warszawy, ale — ciasnym. Dla rekrutacji uczniów z terenu trzeba by także większej ilości miejsc w domach akademickich. A miejsce dla studenta szkoły muzycznej, to nie jest sprawa łatwa i świetlicy do pracy. Jeden student grający, czy śpiewający może zatruć życie 20 kolegom obkuczającym po cichu medycynę lub prawo. Dlatego pomieszczenia dla uczniów szkoły muzycznej winny być pojedyncze i dobrze izolowane. Takich pomieszczeń szkoła warszawska ma około 50, a potrzebuje około 100. Jeśli wszakże zważyć, iż w roku 1945 pomieszczeń było 0, to postęp jest i są nadzieje na przyszłość. — Nie od razu Warszawę zbudowano!...



Polskie Radio za kilka lat nie będzie już nadawało muzyki z płyt. Cały repertuar muzyczny zostanie przegrany na bardziej nowoczesne taśmy magnetofonowe.

GÓRA ŚWINIA!



Słyszeliście niezawodnie, że w wyborach amerykańskich kandydują: Eisenhower (Partia Republikańska), Stevenson (Partia Demokratyczna). Ale kto słyszał kiedy o kandydacie nazwiskiem Herbert C. Holdridge, albo o pani Ellen Linea W. Jensen? Nie słyszeliście? To szkoda. Bo wyżej wymienione osoby, plus jeszcze kilka innych, również kandydują na prezydenta Stanów Zjednoczonych i również mają za sobą własne partie. I to partie wcale pasujące do tej szopki, która nosi nazwę „Wybory w USA”. Odsłaniamy więc kurtynę i prezentujemy nieznanych kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Mr. Herbert C. Holdridge jest z zawodu kolegą Eisenhowera. Ma rangę generała brygady. Kandyduje z ramienia Partii Jaroszków (American Vegetarian Party). Nie chce być wybrany na prezydenta, gdyż, jak powiada — nie bez racji — „gdybyśmy doszli do władzy, byłibyśmy tacy sami jak republikanie i demokraci. Więc po co?”

Pani Ellen Linea W. Jensen — co innego. Pragnie zostać wybrana i jest pewna, że kiedyś to nastąpi. Jako głowa Partii Astrologicznej znajduje się w nieustannym kontakcie transcendentalnym z Jerzym Waszyngtonem. Kandydata swej partii na wiceprezydenta nie może ujawnić, gdyż jest to tajemnica za-

światów. Pani Jensen, która w poprzednim wcieleniu była „Wielkim Duchem Himalajów”, ma program wyborczy niezmiernie krótki: wytypić komunistów. Twierdzi, że potrafi tego dokonać w „ciągu dziewięciu minut” po objęciu władzy. Nie ośmiu, nie dziesięciu, tylko dokładnie dziewięciu. W jaki sposób? Tego również nie może chwilowo ujawnić. Kampanii wyborczej nie prowadzi, gdyż uważa to za bezcelowe. Wynik wyborów uzależniony jest, jej zdaniem, od pomyślnego układu gwiazd. Jak się gwiazdy odpowiednio ułożą, pani Jensen wprowadzi się do Białego Domu.

Mr. Frederick Proehl, lat 72, kupiec kolonialny z Seattle, nie liczy na wybór w tym roku. Zgłosił swą kandydaturę, gdyż, jak powiada, klienci chętnie kupują w sklepie, którego właściciel kandyduje na prezydenta USA. „To dobry interes” — mówi Mr. Proehl.

Dwie partie wysunęły jednocześnie kandydaturę generała McArthura na prezydenta. Jak twierdzi generał — bez jego wiedzy i zgody. Jedna — to faszystowska partia „America First” (Ameryka przede wszystkim), druga — to również faszystowska organizacja „Christian Nationalist” (Chrześcijańsko-Nacjonalistyczna). Trzecia partia faszystowska, Krucjata Chrześcijańsko-Narodowa, pod wodzą Geralda L. K. Smitha głosi program bardzo amery-

kański: tępić Murzynów, Żydów, cudzoziemców i komunistów.

Mr. Stuart Hamblen kandyduje z ramienia Partii Prohibicjonistów. Z zawodu kowboj, z nałogu pijak — jak twierdzi „ostatnio nawrócony”, domaga się ustawowego zakazu napojów alkoholowych. Według utartego zwyczaju kampanię prohibicyjną finansują w USA fabrykanci wódek i właściciele szynków i nocnych lokali. Uważają bowiem, że nielegalny wyszynk wódki przynosi dziesięciokrotnie wyższe dochody i nieograniczone możliwości oszukiwania konsumentów.

Krótki, ale nie pozbawiony słuszności slogan wyborczy wysunął kandydat Henry Krajewski. Ponieważ republikanie mają

jako godło świnia, a demokraci osła, Krajewski występuje pod wezwaniem świni i głosi: „Tamte dwie partie już dość naszwinili w Waszyngtonie, więc górą świnia!”

Ta lista nie wyczerpuje bynajmniej sprawy. Jest jeszcze paru mniej lub więcej pomyślonych kandydatów. Ale nie śmieć się z nich. Czy zdajecie sobie sprawę, ile dałby p. Eisenhower za tajemnicę Partii Astrologicznej — jak wytypić komunistów w dziewięć minut? Jeżeli się do tego nie przyznaje, to tylko dlatego, że się trochę jeszcze wstydi. Ale nie wstydi się już np. popierać senatora McCarthya, który miesiąc temu ogłosił, że generał Marshall (tak, tak, ten od planu Marshalla) jest oddejrzany o... komunizm.

ŚLEPY O KOLORACH

Miesięcznik amerykański „Atlantic Monthly” ogłasza wywiad ze starym, nieco już zębem czasu nadgryzionym, filozofem brytyjskim, Bertrendem Russellem.

Zapytany, co myśli o sytuacji w Azji, Russel odparł: —

„Azjaci doszli do tego poziomu świadomości, że nie chcą już więcej być niewolnikami białego człowieka. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności Azjaci nie zauważyli, że Rosjanie też są biali. Gdyby to dostrzegli, zachowywaliby

się inaczej. Tymczasem Azjaci zdają się mniemać, że Rosjanie są żółci, czarni, czy jeszcze innego koloru. Uważam, że nasza propaganda powinna skierować cały swój wysiłek przede wszystkim na to, by przekonać Azjatów, że Rosjanie też są biali...”

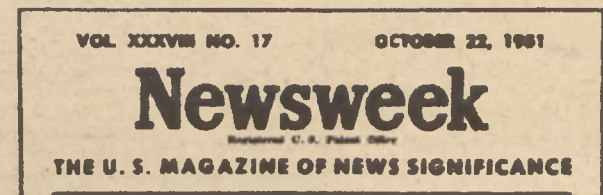
Biedny, zagubiony filozof. Na stare lata zapadł na daltonizm i przestał rozróżniać kolory. Azjaci rozumują prawidłowo, że Rosjanie nie są ani biali, ani żółci, ani czarni — tylko czerwoni... I żadna propaganda nie zdoła ich odwieść od tego przekonania.

JASNOWIDZE Z USA

Można powiedzieć, że prezydent Libanu Beshara El-Khoury, miał szczęście. Zamach stanu, dokonany przez klikę wojskową gen. Fuada Shohaba, zakończył się tylko dymisją prezydenta, któremu udało się w porę zwiać samolotem do Paryża. A mo-

gło się skończyć dużo gorzej...

Bo posłuchajcie tylko: Przed mniej więcej rokiem „ŚWIAT” (nr. 14 z 28 października 1951) przytoczył poniższy wycinek z amerykańskiego tygodnika „Newsweek” z dn. 22 października 1951:



Notes Around the World

Don't be surprised if President Beshara El-Khoury of Lebanon is the next important assassination victim in the Middle East. !

W przekładzie:

„Nie zdziwcie się, jeżeli następną ofiarą zamachu morderczego na Środkowym Wschodzie będzie prezydent Libanu Beshara El-Khoury.”

Komentowaliśmy wtedy tę wiadomość:

„Nie zdziwimy się. Prasa amerykańska słynie z tego, że jest dobrze poinformowana. Zwłaszcza w takich sprawach.”

I oto macie. Gdyby nie ten samolot, to kto wie, co się mogło zdarzyć. Nie należy żartować z takimi ja-

snowidzami, jak amerykańscy redaktorzy. Na mo-krej robocie znają się jak mało kto.

Termin nadsyłania odpowiedzi na Konkurs „Świat o tym wie” p.t. GANGSTER czy POLITYK? upływa z dniem 15 października r.b.

WOJCIECH BYLINA

WSTYD - POJĘCIE ZAPOMNIANE

STOSUNKI między państwami agresywnego bloku zachodniego dawno już wyszły z tego okresu, kiedy poszczególni partnerzy dbać musieli o zachowanie pozorów. Do przeszłości należą czasy, gdy Wielka Brytania i Francja, doprowadzone przez swoje rządy do progu ruiny gospodarczej, zebrały jałmużny po cichu, rezerwując na codzień możliwość uroczystych deklaracji o swojej „suwerenności”, „niezawisłości” itd.

Dzisiaj to już wygląda zupełnie inaczej.

Oto rząd irański występuje do Brytyjczyków z nową propozycją w sprawie nafty. Nie wchodzimy teraz w meritum tej propozycji. Interesuje nas, co na to powiedziały „odpowiedzialne koła brytyjskie” i co w ich imieniu powtórzyło radio paryskie i londyńskie.

„Rząd Churchilla poradzi się w Waszyngtonie, jak ma odpowiedzieć na propozycję Mossadeka”. (Radio-Paryż).

A Radio-Londyn, mówiąc o możliwości rokowań z Iranem, stwierdziło że: „Musi się to odbywać na warunkach, opracowanych wspólnie przez rządy brytyjski i amerykański”. (Radio-Londyn).

Otóż wiadomo, że zatarg o naftę jest zatargiem brytyjsko-irańskim. Dlaczego więc rząd Churchill'a sam nie umie odpowiedzieć na propozycje irańskie, tylko musi sięgać po radę Waszyngtonu? Przecież przez całe stulecia rządy brytyjskie umiały sobie poradzić ze „zbuntowanymi niewolnikami”. Czyżby dzisiaj nie wiedziały, co począć?

Nie. Rząd brytyjski dobrze wie, co by chciał robić, tylko że dzisiaj nie ma już siły i dzisiaj nie on już decyduje w bloku państw imperialistycznych. Dzisiaj musi więc zapytać o radę i o pozwolenie Waszyngtonu. Dzisiaj Waszyngton płaci, a kto płaci ten wymaga, ten decyduje.

Inny przykład. Rząd francuski, który na rozkaz amerykański rozpoczął wielką kampanię zbrojeniową, doprowadził Francję do bankructwa. Ministrowie francuscy argumentowali: skoro zbroimy się na rozkaz Stanów Zjednoczonych, to Stany Zjednoczone muszą wyrównać nasze długi i ratować nas przed katastrofą finansową. Idąc po linii tej prostej logiki, rząd francuski poprosił Stany Zjednoczone o dodatkowych 625 milionów dolarów tak zwanej „pomocy”.

Ale Stany Zjednoczone też mają swoją logikę, logikę pana i władcy. „Macie oto jeszcze 187 milionów dolarów i zwińcie jakoś koniec z końcem” — taka była odpowiedź Waszyngtonu na żądanie Paryża. „Razem to już będzie w tym roku około jednego miliarda dolarów” — dodała prasa amerykańska tytułem usprawiedliwienia.

Paryscy lokaje, którym już się wydawało, że mają dolary w kieszeni, wpadli w szal. Poinstruowana prasa francuska zaczęła grozić, że jeżeli Ameryka nie da tyle, ile Pinay żąda, nastąpi seria nieszcześć, a mianowicie: kompletne bankructwo Francji, wycofanie wojsk francuskich z Indochin, trudności ze zgodą francuską na remilitaryzację Niemiec zachodnich, wreszcie — rzecz najstraszniejsza — całkowite skomunizowanie Francji.



Ambasador Francji w Stanach Zjednoczonych, Henri Bonnet, znany i zasłużony monachijski, otrzymał polecenie złożenia ostrego protestu w tej sprawie (o ile nam wiadomo, jest to jedyny „protest” francuski w stosunku do Stanów Zjednoczonych po wojnie). Dziennikarzom Bonnet powiedział nie bez pewnej słuszności: „Oba rządy różnie spoglądają na tę sprawę”.

I pomyślmy tylko. Potężne Imperium Brytyjskie, któremu jakiś tam „kolorowy” naród skonfiskował naftę, nie czuje się już na siłach, by po prostu posłać krążowniki albo samoloty dla obrony świętej własności Anglo-Iranian Oil Company, tylko musi prosić o pomoc i pytać o radę pogardzanych dorobkiewiczów z Waszyngtonu. Czy to nie koniec świata?

Wielkie Imperium Francuskie musi zebrać, tak po prostu publicznie zebrać o kilkaset milionów dolarów od Yankesów, „strasząc” ich, że jeżeli nie dadzą, to oni, francuskie zdechłaki imperialistyczne, znikną z areny dziejowej. Trudno o zabawniejszy widok, o większe spodlenie i o większą zarazem obojętność na to, „co świat powie”.

Smętnie brzmią dziś słowa brytyjskiego premiera, kiedy obrazuje sytuację imperium. Mógłby się zresztą Pinay swobodnie pod nimi podpisać, zmieniając tylko nazwę kraju. A przyzna każdy, że słowa te są bardzo istotne:

„Rzeczywiście tragiczny to widok, kiedy potęga, majestat, siła i władza wspaniałego niegdyś i wciąż jeszcze dużego Imperium Brytyjskiego musi się martwić i zastanawiać, jak uregulujemy nasz miesięczny rachunek...”

Ani pan Churchill, ani pan Pinay nie chcą zrozumieć, że imperia ich geograficznie są jeszcze istotnie dość wielkie, ale cały imperializm jest dzisiaj zdychającym wampirem, któremu nie pomogą już żadne amerykańskie zastrzyki ani transfuzje dolarowe.

Ballada o lizusie

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Ujrzał z dala dyrektora,
Więc skwapliwie wpół się zgina.
Co za czułość i pokora!
Uśmiech, umizg, wazelina...

Pan dyrektor podał rękę.
Co za duma! Co za radość!
Lizus dłoń uścił z wdziękiem
I już na dziś szczęścia ma dość.



Patrzy — idzie ktoś z prezesem.
Więc gorliwie wpół się zgina —
Ale prezes spojrzal zezem...
Nie pomogła wazelina!

Prezes zezem spojrzal jakoś —
Och, nieszczęsna ma godzina!
Żle się dzieje w Polsce, psiakość,
Gdy zawodzi wazelina!



Ale oto — ministrowa!
Lizus znów się zgina w pałak,
By wyrazić — choć bez słowa —
Że ją czci duszyczką całą!

Ministrowa się uśmiecha,
Lizus się po trzykroć zgina —
Hej! Choć miał z prezesem pecha,
Nie zawodzi wazelina!

Kogo widzę?! Mąż tej pani!
Sam Minister!! Jedzie autem.
Któż wytrzymać byłby w stanie,
By do auta nie biec gwałtem?

Lizus pędzi, jak Zatopek,
Lizus o bruk bije czołem,
Lecz Minister (tu trzykropek)...
Nie przywitał się z matolem.

Choć go spostrzegł, ale udał,
Że po prostu go nie widzi.
Taką to nauczkę mu dał,
Że się lizusami brzydzi.

No, a lizus? Załkał z cicha,
Wydłużyła mu się mina
I zawołał: — Tam do licha!
Znów zawiodła wazelina!...

Potem wrócił do domeczku,
Do łóżeczka się położył,
Marniał w oczach po troszeczku
I wnet kresu dni swych dożył.



Sam Minister udział raczył
W urzędnika wziąć pogrzebie.
Nagle — patrzcież! Co to znaczy?!
Trup się z trumny wolno grzebie...

Już odrzucił wicko precz,
Wstał — i się w ukłonie zgina...
Długo milczał lizus, lecz
Wreszcie mówić tak zaczyna:



— Pan Minister!!! Co za radość!
Choć mi pan do śmierci pomógł,
Lecz, naturze czyniąc zadość,
MUSZĘ krzyknąć: Padam do nóg!

WYDAWNICTWA PRZEDWYBORCZE

ROMAN WERFEL w jasno, przejrzysto napisanej broszurze „POD SZTANDAREM FRONTU NARODOWEGO” tak postawił całe zagadnienie: „Ktoś mógłby powiedzieć: co mnie obchodzi wybory, co mnie obchodzi Sejm i skład Rządu? To wszystko jest polityka, a ja za dawnych rządów przekonałem się, że polityka to oszustwo, ja polityką nie zajmuję się, ja jestem bezpartyjny, mnie obchodzi tylko to abym zarobił, by się dobrze powodziło mnie i mojej rodzinie”.

„Byłoby to stanowisko bardzo fałszywe — stwierdził autor broszury — Bardzo fałszywe dlatego, że słusznie nienawidząc polityki, której celem jest oszukiwanie ludu, każdy człowiek pracy wiedzieć powinien, że jest inna polityka, polityka broniąca jego interesów, jego własna polityka”.

Nie mogą tego na przykład stwierdzić obywatele USA, państwa, które w całości znajduje się we władzy kapitału. O wyborach w Stanach Zjednoczonych decyduje dolar Wall Street, interes królów stali, złota, nafty, kolei. W ich to interesie ogranicza się powszechność wyborów przez terroryzowanie Murzynów, którzy tylko w znikomym liczbie udają się do urn wyborczych, a zawsze jest to z ich strony akt dużej odwagi osobistej. Prawa głosu pozbawia się i białych, jeśli są biedni, wymagając od nich politycznej opłaty wyborczej. Pozbawia się tam głosu i tych, którzy nie zdają egzaminu ze znajomości zasad konstytucji. Przepis ten w pierwszym rzędzie bije w analfabetów.

W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych i innych krajów imperialistycznych, w Polsce walczy się o to, aby każdy obywatel złożył swój głos w urnie wyborczej, aby głosując poparł program Frontu Narodowego, który nie idzie do wyborów z frazesami, a wskazuje, jakie zadania oczekują naród w najbliższych latach i tłumaczy, że dla ich pełnej realizacji potrzebna jest konsolidacja całego społeczeństwa. Oczywiście Front Narodowy nie walczy o samą kartkę wyborczą, walczy o świadome poparcie, o zastanowienie się nad każdym niemal zdaniem programu.

Dlatego nie powinno się iść do wyborów bez zglebienia całej właściwej lektury przedwyborczej (otrzymać ją możemy nie tylko w księgarniach, ale również od agencji politycznych grup przedwyborczych, obsługujących bloki domów i osiedla). Wymaga tego uczciwość wobec samego siebie, konieczność zastanowienia się nad dotychczasową drogą Polski, a zwłaszcza nad bieżącym etapem, etapem Polski Ludowej. Bolesław Wójcicki nadal swej broszurze tytuł: „SŁOWA, PRZEKUTE W CZYN” i jest to właśnie najładniejsza charakterystyka tego etapu, bo słowa „przekute w czyn”, to w pełni już zrealizowany program Bloku Stronnictw Demokratycznych i Związków Zawodowych, który w 1947 roku walczył w wyborach z nikolajczykowską reakcją. Wójcicki omawia wszystkie nasze osiągnięcia i często wraca do przeszłości, aby wykazać na czym w porównaniu z okresem przedwojennym polega rosnąca siła Polski, która, jak stwierdził to Prezydent Bierut „przestała być krajem biednym, bezbronnym i niezaradnym”.

Nie ma prawie sprawy, aby nie poruszyli jej autorzy broszury przedwyborczych, nie wyświetlili. I nigdy jeszcze tak wielkiego wysiłku nie włożono w pełne uświadomienie narodu. Marian Staniewicz w broszurze „DROGA WALKI O WIELKOŚĆ, SIŁĘ I DOBROBYT POLSKI” wskazuje

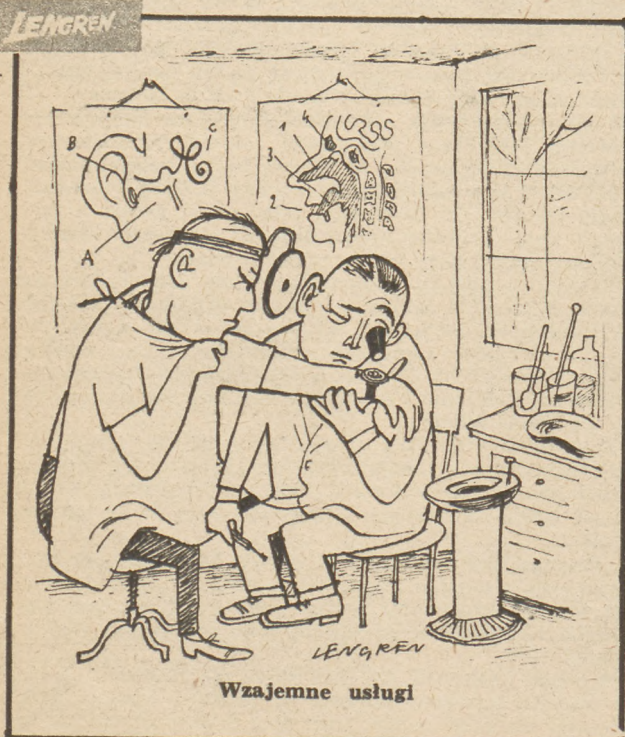
do jak doskonałych rezultatów prowadzi polityka przemysłowania kraju. „Przemysłowanie — pisze — było podstawą szybkiej odbudowy ze zniszczeń wojennych, było również podstawą szybkiej odbudowy i rozwoju produkcji rolniczej”. Na ostatnich stronach tej broszury czytamy: „Program wyborczy Frontu Narodowego określa walkę o rozwój przemysłu jako najważniejsze zadanie, używa do wzmocnienia wytrwałego, ofiarnego wysiłku dla przedterminowego wykonania Planu Sześcioletniego, stawia przed nami wspaniałą perspektywę nowego pięcioletniego planu na lata 1956—1960”.

„Zacofanie gospodarcze kraju — wyjaśnia znów Roman Werfel — to wynik antyludowej gospodarki całych wieków... to wynik dwudziestu lat rządów polskich obszarników i kapitalistów, ich spółki z międzynarodowymi kartelami, hamowania rozwoju przemysłowego Polski w interesie wielkiego kapitału zagranicznego”. Czy nie trzeba się nad tymi podstawowymi problemami dłużej zatrzymać, czy nie trzeba ich zgłębić tak, aby nie pozostawały żadnych już wątpliwości, zwłaszcza, że ukryty wróg w kraju i jawny wróg za granicą nie szczędzi sił, aby je budzić i podtrzymywać?

Z wrogami w kraju rozprawia się Jerzy Tepicht w publikacji „WCZORAJ, DZIS I JUTRO WSI POLSKIEJ”, z wrogami zagranicznymi Stefan Arski w dwóch książkach: „ULICA ZŁOCZYŃCÓW” i „TARGOWICA LEŻY NAD ATLANTYKIEM”. Ulica złoczyńców to Wall Street, z której rekin amerykańskiego kapitału rządził Waszyngtonem. „Targowica leży nad Atlantykiem” jest uzupełnieniem „Ulicy Złoczyńców” i pokazuje smutną galerię polskich zdrajców, przebywających na emigracji. Władza w Stanach Zjednoczonych należy do dolara, a sługami dolara stali się również sanatorzy Zaleskiego, „socjaliści” spod znaku Ciołkosza, Arciszewskiego, Zarębki i Kwapińskiego, Mikolajczyk i jego „kmiotkowie z Marszałkowskiej”, zwyczajni i coraz tańsi agenci amerykańskiego imperializmu. Arski nie ucieka się do pamphletu, komentarz ogranicza do minimum i daje mówić samym faktom. Pokazując, jak emigracja stacza się w bagno zaprzaństwa i narodowej zdrady, cytując dokumenty historyczne, pamiętniki, przytacza głosy emigracyjnej prasy, wypowiedzi głównych hersztów. Jest to lektura zarówno pasjonująca, jak wstrząsająca i nie można jej pominąć dla pełności obrazu tego, co przedstawia sobą świat kapitalistyczny, a co socjalistyczny.

Zdarza się to po raz pierwszy w dziejach naszego parlamentaryzmu, że zamiast jarmarku przedwyborczego daje się społeczeństwu analizę sytuacji międzynarodowej i analizę sytuacji w kraju. Po raz też pierwszy, ale w oparciu o dotychczasowy dorobek Polski Ludowej, który Wójcicki nazwał „słowa przekute w czyn”, w okresie tym pokazuje się nowe zadania, otwierające wielkie perspektywy przyszłości. Nie przy takim lub innym ugrupowaniu politycznym, nie przy frazesach skupia się wszystkie zdrowe siły narodu, a właśnie przy jego zadaniach historycznych, otwierających już drogę dalszego rozwoju następnym pokoleniom. Aktualność broszury i książek przedwyborczych nie skończy się też z chwilą otwarcia nowego Sejmu, zawierają one bowiem słowa, które posiadają pełne pokrycie w faktach i które również przekute będą w czyn, jak i poprzedni program Bloku Stronnictw Demokratycznych.

T. S.



Wzajemne usługi

LUPE LUNETE

PACYFIK RODZI NOWE WSPY

Wiosną bieżącego roku zaobserwowano silne wstrząsy i wybuchy wulkanów podwodnych na Pacyfiku, około 300 mil morskich na północ od Manili (Filipiny). W rezultacie wybuchów powstała w pełnym morzu, w pobliżu archipelagu Babuya, nowa wyspa wulkaniczna, wznosząca się na wysokość 80 metrów nad poziomem morza.

Upłynęły trzy miesiące — i dno Pacyfiku znów zadrgało, tym razem w zupełnie innym miejscu. Oto japońskie statki rybackie, które przepływały przez Pacyfik o 500 mil na północ od wyspy Iwodzima, doniosły o powstaniu nowej wyspy wulkanicznej. Naoczni świadkowie stwierdzają, że wyspa ta ma barwę żółtą — przypuszczalnie pokryta jest siarką pochodzenia wulkanicznego.

Wschodnie wybrzeże Pacyfiku wyróżnia się dużą aktywnością wulkanów. Ale nawet w tych okolicach powstawanie nowych wysp w tak krótkich odstępach czasu nie należy do rzeczy częstych.

SKRZYDLATY JUBILAT

Ostatnio w moskiewskim ogrodzie zoologicznym obchodzono niezwykle jubileusz: 60-lecie przebywania kondora „Kuzia” w ZOO. Kondor, jeden z największych ptaków latających, odznacza się długowiecznością; toteż moskiewski jubilat „Kuzia”,

mimo sędziwego wieku czuje się znakomicie (jeszcze tokuje!). Gra czasem w filmach popularno-naukowych i mimo całkowitej swobody — nie próbuje uciekać.

AUTOMATYCZNY LABORANT

Pracownicy laboratoriów biologicznych zużywają zazwyczaj wiele czasu na przygotowanie preparatów do badania mikroskopowego: cienki jak bibułka płatek tkanki należy obmyć w wodzie destylowanej, następnie w spirytusie, wysuszyć, potem zanurzać kolejno w różnych barwnikach na ściśle określony okres czasu, wreszcie zalać parafiną.

Te wszystkie czynności potrafi wykonać specjalny przyrząd, skonstruowany w warsztatach konstrukcyjno-doświadczalnych przy Instytucie Biologii i Patologii w Moskwie. Przyrząd ten — „automatyczny laborant” — funkcjonuje przy pomocy prądu elektrycznego ze zwykłej sieci miejskiej.

„Automatyczny laborant” może przygotować równocześnie 500 preparatów. Zastępuje on pracę 4—5 laborantów, skracając przy tym czas przygotowania preparatu piętnastokrotnie.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.
Zakłady Wkłódnikowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72
Zam. 594. Pap. rotogr. V/80-82 cm. 3-B-17426

Drodzy Czytelnicy!

Ostatnio na rynku wydawniczym ukazało się wiele publikacji, które w okresie przedwyborczym dostarczają polskiemu czytelnikowi cennego materiału, orientującego w dziedzinie zagadnień współczesnych, a także informującego o niesławnej przeszłości lat międzywojennych. Poczytność tych publikacji jest duża, a o zainteresowaniu nimi świadczy m. in. list naszego Czytelnika, Ob. Z. Jankowskiego z Warszawy, który pisze:

„Broszury i książki, które pojawiły się w księgarniach, na tematy związane z aktualną problematyką, są niezmiernie pożyteczne dla każdego obywatela, pragnącego pogłębić swoją świadomość obywatelską w doniosłym dla narodu okresie przedwyborczym. Pobieżny tylko przegląd pozycji wydawniczych, podawany przez naszą prasę, wskazuje, że wydawnictwa przedwyborcze zawierają bogaty materiał faktyczny, co niewątpliwie podnosi wartość tych publikacji.

Wczoraj, wracając z pracy, chciałem kupić dwie broszury, które mnie szczególnie zainteresowały. Odwiedziłem kilka kiosków „Ruchu” na trasie od ul. Targowej do Grochowskiej na Pradze. Okazało się, że sprzedawcy nie tylko tych broszur nie mają, ale nawet o nich jeszcze nie słyszeli. Przy jednym z kiosków zetknąłem się z innym kupującym, który nie mógł nabyć interesującej go broszury. W związku z tym piszę do redakcji.

Otóż wydaje mi się, że w pierwszym rzędzie książki te powinny się znaleźć w licznych kioskach „Ruchu”, które istnieją w większych i mniejszych miastach. Możliwość nabycia aktualnych broszur w kioskach zwolni wielu ludzi od

szukania księgarń, których ilość przedstawia się rozmaicie w różnych dzielnicach: nierzadko większe księgarnie, obficie zaopatrzone, znajdują się dość daleko od miejsca zamieszkania poszczególnych obywateli. Tymczasem kioski „Ruchu” bardzo często znajdują się w obrębie jednej czy kilku sąsiadujących z sobą ulic.

Przy okazji warto by może zwrócić uwagę Państwowego Przedsiębiorstwa Kolportażu „Ruch” na dobór wydawnictw książek i broszur w kioskach. Często bowiem zaopatrzone są one (dość przypadkowo zresztą) w stare pozycje wydawnicze, nieaktualne broszury, np. o Wysiedzi Pokoju, i spóźnione publikacje. W niektórych kioskach można nabyć mydło i lusterka; nie oczywiście nie mam przeciwko upowszechnianiu mydła, ale wydaje mi się, że troska „Ruchu” powinna być skierowana przede wszystkim na słowo drukowane, którego znaczenia nie potrzebuję chyba tłumaczyć. A właśnie ostatnie wydawnictwa przedwyborcze powinny mieć pierwszeństwo w planie zaopatrzenia kiosków.

Mogę jeszcze nadmienić na zakończenie, że sam byłem kilkakrotnie świadkiem, jak młodzież szkolna i studenci żądali w kioskach broszur, o których już wspominałem!”

Uwagi naszego Czytelnika są niewątpliwie słuszne i sądzimy, że za pośrednictwem naszego pisma dotrą one do zainteresowanych tym zagadnieniem czynników „Ruchu”, które ze swej strony poinformują, w jakiej mierze można zrealizować propozycje ob. Jankowskiego.

ŚWIAT

MECZ SZACHOWY

„ŚWIAT” – CZYTELNICY

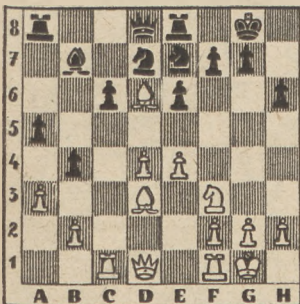
W wariantcie W1 naszego meczu do ostatniej chwili nie było wiadomo, na jakie posunięcie zdecydują się Czytelnicy. Ostatecznie większość użyła Sd5—e7 (27,6%) przed

Sd5—b6 (24,1%) i Sd5—f6 (20,7%). W partii W20 wybrali Czytelnicy Sc5—e4, na które padło (46,7% głosów); niewiele mniej, bo 43,0%, użyło g7—g6. Wreszcie w par-

tii W21 przeszło Sc6—e7 (72,4% głosów) przed Sg7—f6.

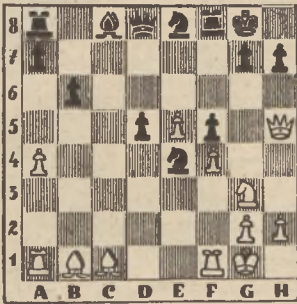
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji nasze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



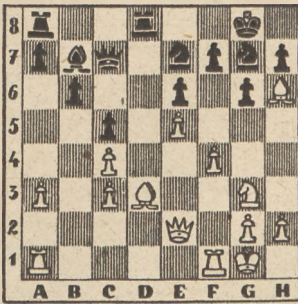
16. Gg3:d6 Wf8—e8
17. e3—e4 Sd5—e7
18. a2—a3

PARTIA W20



16. Gd3—b1 f7—f5
17. Hd1—h5 Sc5—e4
18. a3—a4

PARTIA W21



16. f2—f4 Wf8—d8
17. Sc2—g3 Sc6—e7
18. Hc2—e2

Przypominamy, że odpowiedzi na osiemnaste posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 14 października br.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ VI KONKURSU ROZWIĄZANIOWEGO

A 51

1. Wc1 b6 2. Hc6 b4 3. Hh1
1...b4 2. Wf1 Ke2 3. Hc1
1...Ke2 2. Hf5 Kd2 3. Hf1

A 53

1. Gh4 grozi 2. Sf2 Gf3 3. H:f3
Ke1 4. Hd1 X lub 3... Kg1 4.
Hh1 X
1...G:h1 2. Hd1+ Kg2 3. He1!!
1... G:d3 2. Hf3+ Kg1 3. Hh3!
1... Gd5 2. Sf2 Gb3 3. Se4
1... Gf3 2. H:f3 Kg1 3. Sg3

A 55

1... Ga5 groźba 2. Sb6+ Kd6
3. S:c8 X
1... Gf5 2. Hc3+ K:c6 3.
S:e5 X! 1... Gg5 2. Se3+ Kd6
3. Sf5 X!

A 57

1. Gb6! K:b6 2. Ke4! f2 3.
Sd5+ K obojętne
4. Se3 i wygrywa.

A 59

1. Hb8

B 52

1. S:d5 c:d5 2. W:d5!! H:a4
3. We1+ z matem

B 54

27. H:g6!! h:g6 28. G:g6+
Ke7 29. Sf5+ X

B 56

35... H:c1+! 36. S:c1 W:c6
37. Sd3 We1+!
38. S:c1 G:a8 39. f4 g:f4 40.
g:f4 a5 białe poddały się.

B 58

22. Sh5! Se6 23. Sf6+! Kh8
24. Hf5 g:f6
25. Wh4 i czarne poddały się.

B 60

29... Sf3+ 30. Kg1 H:h2+!!
31. K:h2 Wh8+ 32. G:h8
W:h8+ 33. Kg1 Wh1 X

Nagrody za rozwiązanie zadań VI konkursu rozwiązywanego wylosowali: 1) Cz. Cieśliński, Kraków, 2) E. Czucharski, Koszalin, 3) M. Kirstein, Nowy Targ, 4) A. Lewandowski, Chodecz, 5) T. Tarnowiecki, którego prosimy o podanie adresu.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

„Wielokrotnie ostatnio pokazywaliście modele płaszczy jesiennych damskich” — pisze jeden z naszych Czytelników — „myślę, że warto byłoby zająć się trochę i nami, mężczyznami...”

Uwaga jest słuszna. Bo chociaż w zasadzie dział nasz jest przede wszystkim do dyspozycji kobiet — to jednak absolutnie nie mamy zamiaru pomijać w nim mężczyzn... i dzieci. To, że tak rzadko zajmujemy się sprawami stroju mężczyzn — przede wszystkim uwarunkowane jest tym, że moda męska nie ulega tak częstym zmianom jak moda kobieca, a poza tym — mężczyźni jednak o wiele mniej interesują się tym tematem.

Przechodząc do rzeczy, komunikujemy: w dalszym ciągu dobrze ubranym mężczyzną jest ten, którego strój cechuje umiar w liniach, stonowane barwy i niezbyt „oryginalne” desenie materiałów.

Trzy najnowsze modele płaszczy jesiennych, które obok widzimy, właściwie prawie niczym nie różnią się od zeszłorocznych. Model u góry, to luźny płaszcz z cienkiej wełny lub samodziału, pod który przypinamy ciepłą podpinkę. Taki płaszcz jest krótszy od normalnych — sięga mniej więcej do kolan.

Płaszcz u dołu na lewo jest uszyty z „grubego” materiału deseniowego w tzw. „jodełkę”. Cały na podszewce i w atolnie. Nieznacznie wcięty, dwurzędowy, z kieszeniami na wierzchu — jest najpopularniejszym płaszczem jesiennozimowym. Model obok jest mniej praktyczny, zbyt elegancki na codzienny użytek. Ten płaszcz należy szyć z gładkiego ciemno-szarego materiału. Obydwa płaszcze sięgają poza kolana (mniej więcej 12 cm).

Marynarki w dalszym ciągu modne są dość luźne i dość długie (ale bez przesady!). Spodnie powinny sięgać do buta (ale nie leżeć na nim); szerokość u dołu 25—26 cm. Linia ramion obecnie już bardziej spadziasta (jak najmniej waty), kłapy u marynarek są szersze — tu znowu ostrzegamy przed przesadą.



TANIO i ŁADNIE



WYBORY



No co, Felek — staniemy do wyborów murem!

Rys. Ibis



Rys. Ibis

Widzisz! A nie chciałaś wierzyć, że mam już 18 lat.



IBIS.

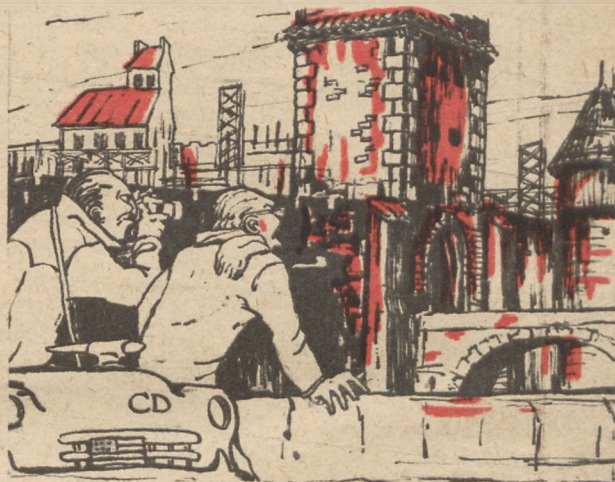
Rys. Ibis

Plan „Warszawy“.

KARYKATURA RUMUŃSKA



Amerykańsko-angielska „współpraca“.



(Na Starym Mieście odbudowuje się dawne mury obronne).

— A mówiłem, że się fortyfikują!



— Tu mówi „Głos Ameryki“...

Rys. K. Ferster

WYBORY W KRAINIE DOLARA.



Rys. Charlie

— ...a na życzenia waszych wyborców nie zwracajcie uwagi: pamiętajcie, że posłowie są niezależni...



Rys. Stanny

(Amerykanie oświadczyli, że jeńcy koreańscy dobrowolnie zostają w Korei południowej)

— Gratuluje pułkowniku, widzę, że wszyscy pana jeńcy zostają na miejscu.